

# WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK II.

Łódź, dnia 7 października 1945 r.

Nr 11 (18)

JAN SZCZEPAŃSKI

## O NOWYM CHŁOPSKIM BOHATERZE

Gdy na Zjeździe Uczestników Walki Zbrojnej z Niemcami w Warszawie, odbytym w rocznicę historycznego września, po przemówieniach przedstawicieli Rządu, po przemówieniach oficerów tamtej walki roku 39-ego i tej roku 45-ego, — gdy głos zabrali partyzanci, niejeden ze słuchaczy zaproszonych — a byli między nimi i zagraniczni goście — odczuł, że stoją na mównicy ludzie innego, wyjątkowego pokroju, niezwykle nawet na wymiar naszych niezwykłych czasów, a już całkiem niezwykli na wymiar naszych polskich. Gdy przemawiał partyzant Wiślicz, reprezentant trzech brygad kieleckich, przez salę przepłynęła fala wzruszenia i uznania — nie dla niego może w szczególności, ale dla wszystkich tych, jemu podobnych i w których imieniu stał tutaj, dla chłopów o twardych rysach twarzy i zawziętym ruchu ręki, dla tych, którzy **przez nikogo nie namawiani, przez nikogo nie wspomagani, przez nikogo nie zorganizowani**, — w chwili, gdy walka wydawała się beznadziejna, — **WZIĘLI BRONĘ DO RĘKI**, choć pochodzili z klas najbiedniejszych w ojczyźnie pognębionej i wyzyskanej. Gdy mówił ów przywódca partyzantów, że **DZISIAJ MUSIMY POSKĘ ODBUDOWAĆ TAK JAK JĄ WYWALCZYLIŚMY** — czuło się, że to zdanie wyświechtane i wytarte po wiecach, zjazdach i gazetach nabiera nowego sensu, bo wygłasza je chłop **po raz pierwszy może od tysiąca lat**. Oto stoi przed nami nowy typ człowieka polskiego, typ o którym marzyli inicjatorzy wszystkich powstań polskich: **CHŁOP Z WŁASNEJ WOLI WALCZĄCY O PANSTWO**.

### „OBRAZEK Z DZIEJÓW POLSKI”

W tak popularnej kiedyś książeczce Anczyca „24 obrazki z dziejów Polski”, składającej się z 24 rysunków kolorowych, wyobrażających każdy jakąś chwilę historyczną z odpowiednim objaśnieniem tekstem był jeden przedstawiający „Kurpiów walczących ze Szwedami”. Na obrazku widniało wewnątrz lasu z drogą, po której postępował oddział rajtarów; kłose drzewa leżały zwalone w poprzek, a poza pniami, uzbrojeni we flinty, ukrywali się dzielni Kurpiowie. Jakkolwiek było to zdarzenie niewielkiej doniosłości w naszych dziejach, niemniej wydało się Anczycowi, piszącemu swoją naiwną historię Polski „dla ludu”, czemś tak niezwykłym, że dał mu miejsce przed innymi. Tak osobliwe się wydawało, że lud polski z własnej chęci, z własnej woli, sam z siebie postanowił narazić życie w obronie kraju.

Były tam i inne sceny: więc kosynierzy krakowscy zdobywający armaty pod Racławicami, i bohaterski chłop Grzegorz Wieloch, podkładający ogień pod ostrokoły twierdzy Wielkie Łuki. Ale sens tych obrazków był już inny: wszędzie tu chłop występował nietyle jako świadomy patriota, co jako junak, którego potrafiło namówić do walki. Pod Racławicami był Kościuszko i Głowacki, przywódcy, do których lud miał zaufanie; pod Wielkimi Łukami motorem był mądry król Stefan Batory, organizator chłopskiej „piechoty wybranieckiej”. Ale przecież i „Bartek Zwycięzca” u Sienkiewicza na medal zasłużył, walcząc w pruskiej armii w takt mazurka Dąbrowskiego, który kazał grać chytry generał; Bartek — żalosny bohater, też przecież broniący swojej Magdy i chałupy, bo Niemcy w niego wmówili, że wrogowie czyhają na skromne dobra chłopskie. Co z tego, że bijali się chłopci w powstaniu styczniowym, że przed wrześniem 39 r. gazety doniosły o chłopskich rezerwach samorządnie odbywających ćwiczenia w polu, że pod Kutnem i Iżmą chłop nie uciekł, walczył i zginął? Zawsze to był chłop do armii „wcielony”, „zagrzany do boju”, przez kogoś zorganizowany i przez kogoś namówiony. Zaiste ów anczykowski obrazek wyobrażający Kurpiów walczących **Z WŁASNEJ CHĘCI, Z WŁASNEJ ŚWIADOMOŚCI, Z WŁASNEJ WOLI**, jest czymś na przestrzeni naszej historii jedynym. Naprawdę łamał sobie głowy wodzowie powstań, by odkryć owo zaklęcie, ów gest magiczny, ów „złoty róg”, któryby lud obudził do walki. To się zdarzyło raz tylko w historii. I drugi — na naszych oczach.

### „I DZISIAJ...”

Jednak byli Kurpie w znacznie korzystniejszym niż nasi partyzanci położeniu. Nim najeźdźcy nadeszli Kurpie obronę planowo zorganizowali, wytrzymali i zwyciężyli; mieli przytem pełne poczucie skuteczności swojej walki. Nasi partyzanci działali w kraju, który wojnę przegrał, w kraju objętym kontrolą okupacyjnego totalnego systemu, zaś walka ich, im była lepsza, im bardziej skuteczna, tym bardziej niszczące sprowadzała skutki na kraj, którego bronili. Położenie partyzantów polskich było tragiczne zarówno z punktu widzenia wojskowego jak moralnego.

Możliwość partyzantki była dokładnie przewidziana w planach „wojny totalnej”, opracowanych przez niemiecki sztab generalny. „Wojna totalna, jako nowoczesny błyskawiczny sposób rozstrzygnięcia walki orężnych, w skutkach swoich musi dotknąć ludność cywilną w stopniu dotychczas w historii wojen nieznanym” — pisał gen. Seydewitz, teoretyk owej „Totaler Krig”. Ponieważ partyzantka, mogła stać się groźna w tym systemie wojny, gdy armia w krótkim czasie zajmuje olbrzymie przestrzenie, dowództwo niemieckie przygotowało środki do walki z nią. Pierwszy: odpowiedzialność zbiorowa. Czerwony afisz zawiadamiał, że jeśli w powiecie zdarzy się jakiś zamach, rozstrzelanych będzie stu więźniów, przynależnych politycznie lub organizacyjnie do grupy odpowiedzialnej za napady. Za ucieczkę do lasu aresztowano najbliższą rodzinę; w innym wypadku odpowiedzialna była cała gmina, albo dziesiątki i setki przypadkowych przechodniów. Druga zasada: progresywny wzrost kary. Za zamach: publiczna egzekucja. Za drugi zamach: wywiezienie połowy ludności na Majdanek. Za trzeci: spalenie wsi i wymordowanie reszty mieszkańców. Ruiny Warszawy i pustynia w powiecie zamojskim są

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

### PLANOWY ODJAZD\*)

*Dziecko na ręce w białym bereciku  
z oczu całe jak matka —  
tylko jak u ojca włosy  
na głowie rosnące z rzadka.*

*Rączką macha, przywołuje zwidzenia,  
a matka, otulona, pełna trwogi:  
Brata próżno oczekuje z więzienia,  
Ojca widzi! Ojciec nie wraca z drogi!*

*Przysapał na stację pociąg pełny oczu, pełny  
oczu, pełny okien —  
z za krat z kolczastego drutu.  
Powlokły się za nim jak nuta —  
w hełmie samotnego żołnierza kroki.*

*Żołnierz milczy, hełm poprawia i już, jakby  
znikł.*

*Dziecko dalej woła rączkami przywidzenia.  
Ślady krwi na kamieniach.  
Kopanego człowieka na stacji krzyk.*

\*) Krwawa wiosna okupacji. Lublin, kwiecień 1944. W przewidywaniu rychłej ofensywy sowieckiej, wróg usuwa bezlitośnie wszystko co „niepewne” i „wrogie”. Resztki chłopów rugowanych bezlitośnie z ziemi, która miała być niezadługo terenem walk, jako partyzantów lub „sprzyjających” wywozi się pospiesznie do Niemiec jako siłę roboczą, albo do obozów. Co chwila poprzez zabrudzone okna stacji kolejowej widać przejeżdżające pociągi. Okna zakratowane drutami kolczastymi. — Poprzez te kraty z drutu widać tylko nieruchome oczy i ręce, które już nie mogą. Dyżurny ruchu (niemiec) zapowiada planowy odjazd pociągu (Planmässige Abfahrt). — Dławione słowa układają się w krótki wiersz...

Lublin, kwiecień 1944.

straszliwymi przykładami tej „progresywnie wzrastającej” metody.

W tych warunkach partyzantka miała w sobie coś z walki z baśniową hydrą. Rezultaty były niewidoczne: drobne zamachy, zdawało się, nie szkodziły kolosowi, a każdy wyczyn, każde mizerne bohaterstwo spadało jak piekielny taran na okolicę. Poczucie celowości walki miał partyzant francuski, wspomagany przez alianckie lotnictwo, miał partyzant radziecki, działający na zapleczu frontu, wspierany przez specjalne oddziały desantowe, pomagający zwycięstwu w widoczny sposób; mógł mieć partyzant serbski, biwakujący całą armią jak u nas niegdyś Kurpie, w niedostępnych górach. Położenie partyzanta polskiego, o tysiące mil od frontu, tragicznie samotnego, było bez porównania bardziej gorzkie. Wreszcie partyzantka na wsi różniła się zasadniczo od konspiracji miejskiej; „leśny”, pozbawiony informacji, w stale niepewnym terenie, był w położeniu bez porównania trudniejszym niż jego warszawski brat „z dywersji”.

### NOWY PATRIOTYZM

Jeśli więc tradycja polskiego ruchu oporu obok francuskiego jest najpiękniejszą w Europie, świadczy ona przede wszystkim o SILE DUCHA naszych. Jakż w tych najcięższych warunkach partyzantka stawała sobie przede wszystkim celem moralnym: **podtrzymywać ducha u swoich, obronić własną niezależność**. A przyszedł czas, gdy partyzantka prócz moralnego, nabrała i rzeczowego sensu; w roku 1944 partyzant miał już pełne poczucie wojskowego znaczenia swojej walki.

Ale nie to trudne bohaterstwo jest dla nas dzisiaj najważniejsze — a raczej to, co partyzantów chłopskich upodabnia do owych Kurpiów z siedemnastego stulecia: że walczyli z **WŁASNEGO IMPULSU**. W naszych oczach, w ciągu pięciu strasznych lat dokonał się cud **NARODZIN NOWEGO CHŁOPSKIEGO PATRIOTYZMU**, a jak on był w swoim wybuchu potężny, niech świadczy to co wyżej było powiedziane o rozpaczliwym położeniu naszej partyzantki. Kurpie bronili swojej krainy; dziś partyzantka chłopska objęła całą ojczyznę, w warunkach nieporównanie straszliwszych. Ale i tu i tam przyczyna była jednakowa: **CHŁOP zaczął walczyć, gdy konkretnie się przekonał ŻE BYT NARODOWY JEST ZAGROŻONY**. Stało się to, czego nie był w stanie dokonać głosłowny apel wodzów 30 i 63 roku. I nie pomniejsza to w żadnym stopniu wartości nowoobudzonego patriotyzmu, że był on tak rzeczowy, że dopiero **NA WŁASNE OCZY** chłop musiał ujrzeć co grozi narodowi, by się podnieść. A miał chłop inne przecież rozwiązania do wyboru: mógł zachować się jak Czech małodusznie, mógł na roboty wyjechać i pogodzić się z rzeczywistością. I mimo strasznych ofiar nikt nie będzie żałował, że tak się stało: ten **NOWY WKŁAD OCHOTNEJ KRWI** jest istotną naszą nadzieją narodową — tak, to zdanie nie ma w sobie nic z frazesu.

Od nas teraz zależy, by chłop raz obudzony, na zawsze obudzonym pozostał. Nigdy chyba w naszej historii wartość wysiłku zbrojnego nie miała takiej siły twórczej, jak tradycja nowej partyzantki chłopskiej. Na chłopskich pisarzach, prozaikach i poetach ciąży dziś obowiązek o najwyższym sensie kulturalnym: **OCALIĆ I PRZECHOWAĆ MIT CHŁOPSKIEJ WALKI PATRIOTYCZNEJ**; wyciągnąć z niego wszystkie wnioski społeczne i pedagogiczne, tak by tradycja **NOWEGO CHŁOPSKIEGO BOHATERA** stała się naszą ludową tradycją, tradycją tragicznego wstrząsu, od którego zaczął się okres państwowej i narodowej świadomości chłopca.

„WIEŚ” od 1. X. 1945 r.  
wychodzi regularnie jako  
**TYGODNIK**



# KRZYŻE KIELECCZYZNY

Wyciąg z kroniki bestialstw niemieckich dokonanych przez okupantów na terenie gminy Rzepin, pow. kieleckiego, woj. kieleckiego...

...Działo się to 24 maja 1943 roku. O godzinie 6-tej rano przybyli do międzywieńskich wsi Gębice i Żuchowiec żandarmi i wojsko niemieckie. Razem 250 ludzi. Ponadto jeden osobnik cywilny, który stale asystował dowódcy. Według zebranych wiadomości dowódcą był komendant żandarmerii w Starachowicach leutnant Füssel.

Momentalnie po przybyciu obstawili niemcy obie wioski, zamykając wszystkie wyjścia: natychmiast rozpoczęli zbiorke chleba, jaj i mleka, nakazując przytym zachowanie bezwzględnej spokoju. Po zebraniu większej ilości wspomnianych produktów, zarządził zbiorke wszystkich mężczyzn od lat 14-tu wzwyż, nakazując zabranie ze sobą łopat. Mężczyzn z Gębic spędzono na teren leśnictwa, a z Żuchowca popędzono z łopatami wprost do lasu.

Gębican ustawiono szeregiem twarzami w stronę rodzinnej wsi, otaczając ich silnym kordonem. Równocześnie wieś podpalono.

Po godzinie zebrano wszystkich mężczyzn z obu wsi i odprowadzono do miejsca zwanego „lisia jama”. Tu jeden z żandarmów zakreślił łopatą miejsce, gdzie miał być kopany wielki jeden grób, a następnie rozkazał wziętym rozpoczęcie kopania dołu.

Nik jednak z zebranych mężczyzn nie przystąpił do kopania. Wobec takiej postawy skazańców, widząc ich płaczących i całkowicie wyczerpanych, odświadczył po polsku jeden z oprawców, że mogą zapalić papierosy, zachowując przytym spokój i absolutne milczenie.

Po jakimś czasie skazańcy uspokoiili się nieco.

W tym czasie podszedł do Jana Surmy, liczącego 23 lata jeden z żołnierzy niemieckich, prawdopodobnie ukraińiec i łamaną polszczyzną rozkazał mu kategorycznie, aby natychmiast zdjął ubranie. Surma jednak rozkazu tego nie wykonał.

Wówczas żołnierz ten ujął go za kołnierz i odprowadził na bok. Podeszło wtedy dwu żandarmów z ułamanymi kołkami i uderzyli Surmę po głowie. Surma upadł na ziemię. Wtedy jeden z oprawców stanął zemłodnemu obcasami na gardle i w ten sposób zamordowano Jana Surmę. Po morderstwie zdjęli oprawcy ubranie z ofiary i zawiązawszy nieżyjącemu ręce przywlekli go do zabranych mężczyzn.

Kiedy jedni mordowali Surmę, pozostali żołnierze

i żandarmi rozpoczęli równocześnie strzelanie do zgromadzonych chłopów obu wsi. I tak padła większość. Wtedy kazano pozostałym znosić trupy i rannych do znajdujących się w pobliżu dołów. Skazańcy jednak, byli, patrząc na ohydny mord, niezdolni do wykonania zleconej im czynności. Wówczas nakazali Niemcy ocalałym jeszcze klęknąć pod dołem, gdzie uprzednio kazali składać trupy i odebrawszy dowody osobiste uśmiercali resztę mężczyzn strzałami w tył głowy.

Zeznający Władysław Jeżewski ociągał się z oddaniem dowodu osobistego. Podszedł więc do niego żandarm z zamiarem odebrania mu papierów. Wtedy Jeżewski uderzył Niemca pięścią w brzuch tak silnie, że ten wraz z bronią wpadł do dołu nad którym klęczeli skazańcy.

Niemcy stracili orientację, tym więcej, że Jeżewski uciekł między nich. Dlatego właśnie nie strzelali od razu do niego, lecz dopiero z 20—30 metrów. Ale wszystkie strzały chybiły i Jeżewski zdołał uciec.

W chwili po ucieczce zginęli 14-letni Zygmunt Szołt, 15-letni Piwnik Jan, Kwiecień Jan i Surma Kazimierz, 65-letni Orczyk Kazimierz, 63-letni Przygoda Jan, 69-letni Jeżewski Karol i 50 innych chłopów obu wsi.

Ponadto zostali w tym czasie zamordowani ze wsi Boleszyce, pow. opatowskiego — Hamera i Zaczekiewicz Wincenty, którzy przybyli do leśnictwa po zakup drzewa.

10 października br. w Łodzi  
ZJAZD PISARZY ODDZIAŁU  
WIEJSKIEGO Z. Z. L. P.

Początek obrad o godz. 10, ul. Bąndurskiego 8. III p. Lokal Oddz. Łódzkiego Z. Z. L. P.

Informacji udziela Redakcja tvg. „Wieś” i kieruje na nocleg do hotelu „Turystycznego”.

...W dniu 11 listopada 1943 roku przybyli do Gębic i Żuchowca w południe, również pod dowództwem leutnanta Füssela żandarmi niemieccy w liczbie 400. Obstawili jak przedtym wieś Gębice i Żuchowiec i wypędzili wszystkich mieszkańców a więc mężczyzn, kobiety i dzieci do leśniczówki w Gębicach. Na podwórku obstawiono spędzonych silnym kordonem żandarmerii i wojska.

Najpierw spłądowano opuszczone domy a następnie spalono wieś Żuchowiec i Gębice, będące właśnie w odbudowie po ostatniej egzekucji.

Na podwórku leśnictwa badano dokumenty w celu ustalenia, kto strzelał do żandarmerijnego samochodu, który rzekomo jechał tego dnia rano koło leśniczówki Gębice. Nikt jednak z zebranych nie mógł ustalić, kto strzelał i czy wogóle byli do żandarmerii oddane jakiegokolwiek strzały.

Po badaniu zwolniono część kobiet i dzieci, pozostałych zaś wyprowadzili Niemcy na pole, koło zabudowań leśniczówki. Mężczyzn oddzielono od kobiet i kazano maszerować naprzód, w stronę lasu. Po pewnym czasie rozkazano im klęknąć, poczym oprawcy wymordowali wszystkich z karabinów maszynowych i broni automatycznej, mierząc w tył głowy.

W ten sposób wymordowano pozostałe kobiety i dwoje dzieci, które dobrowolnie poszły na śmierć z rodzicami.

Cudem ocalały od śmierci Antonina Kosmala i Józefa Orczyk, wdowa po zamordowanym w pierwszej egzekucji mężu. Zeznają one, że kule oprawców chybiły i temu zawdzięczają życie. Po morderstwie Niemcy sprawdzali, czy wszyscy zostali zabici, kopiąc butami leżących. A jęczące ofiary dobijali. Leżące cicho obie kobiety, zbryzgane krwią sąsiednich ofiar zostały uznane za nieżywe.

W tej egzekucji męczeńską śmierć ponieśli: Kosmala Józefa lat 73, Gryz Józef — 83-letni starzec, Gryz Ludwik lat 73, Gebura, Jadewska 10-letnie dziecko, 14-letnia Bykowska Maria i 13 innych ofiar.

Spalono żywcem siedem osób. W pościgu zamordowano jeszcze dwie...

## Listy nauczyciela z konspiracji

(List pierwszy — Moi chłopcy)

dn. 18 czerwca 1944 r.

DROGA KRYSIU!

Chcę Ci przypomnieć pewien fragment z „powstańca pińczowskiego”. Było to w parę godzin po bitwie o Pińczów. Nasi chłopcy wracali łakami niedziańskimi. Ze dworu, gdzie stał sztab partyzancki, wieńczyła ich marsz „Etiuda rewolucyjna” Szopena. Byłem wzruszony, ale i zdziwiony, dlaczego właśnie grasz etiudę rewolucyjną. Spytałem Cię. Wstając od fortepianu odpowiedziałas nie od razu, „Bitwa wygrana... ale czy to jest zwycięstwo chłopskie — wątpię?...”

Pamiętam jakie zrobiło to przykre wrażenie na dowódcach drużyn. Wszak przyszli dziękować Ci za muzykę.

Byłem i ja wówczas po ich stronie. Powiedział któryś: „Przecie my chłopci odbilim Pińczów”, i poszli.

Przyznam się, że dopiero teraz w pełni doceniam Twoją goręć i jej prowokacyjną manifestację w Etiudzie rewolucyjnej. Teraz, kiedy przeżywam krytyczny moment w moim stosunku z chłopcami z licealnych klas. Od szeregu tygodni coraz to inny, a niekiedy kilku wezwanych do odpowiedzi wstaje równocześnie, tłumacząc swoje nieprzygotowanie tym, że brali udział w „akcji”.

Obawiam się poważnie o maturalny egzamin, pójdzie fatalnie i moja chłopka dwudziestka załamie się u samej mety.

Wszystko to staje się coraz bardziej jawne. Dwa dni temu w alei dworskiego parku pod lipami, tam, gdzie stawiałaś żądanie powiększenia Korpusu Oficerskiego z chłopów, tam właśnie komendant obwodu „Jurand” oznajmił mi, jakoby słyszał, że chłopcy z tych wsi chodzą samowolnie na wyprawy i obżerają się przy okazji, bijąc kury i krowy, na co jeszcze macha ręką, ale bezwzględnie idzie mu o to, że nie wylczyli się z zabranego w Chrobrzu magazynu spirytusu.

Na to postawiłem mu dwa pytania: dlaczego od miesięcy już nie robi się odpraw wychowawczo-politycznych? I dlaczego zamiast akcji dywersyjnych mamy wciąż akcje „prowinantowe” i gromadzenie t zw. „kapitału wojennego”? Nie odpowiedział.

Odwiedził mnie doktor pod pretekstem rozmowy o raniach. „Sęka” jest już na wyleczeniu. On jeden pewnie

zrozumiałby Cię wówczas pod Pińczowem, ale rannego powieziono inną drogą i nawet nie słyszał Twojej etiudy. Jego nieobecność od trzech miesięcy w szkole zaważyła poważnie na obecnej sytuacji młodzieży. Doktor na odchodnym rzekł mi, patrząc gdzieś przed siebie: „Albo chłopców partyzantka deprawuje, albo... szkoła”.

W spółdzielni przychwyciła mnie gromada gospodarzy. Mówiono celowo przy mnie głośno. Szło starym o kilka spraw. Jedna — w czym przyznają im rację — że bitwa o Pińczów, a to co się teraz „wyrabia”, to są dwa rodzaje partyzantki. „Obraza boska” — jak orzekli. Nie domyślają się, że pod Pińczowem bili się ich synowie. Mówią o tej akcji jak o legendzie bohaterskiej w dalekim kraju. Inaczej ma się rzecz z ostatnimi breweriami. Wiedzą, że to ich synowie i piją i rabują — narodowego czynu, czy społecznego zadośćuczynienia w tych wyprawach nie widzą. I tu mają w dużym stopniu rację. Zwróć uwagę na to, jak ze zmianą charakteru partyzantki ulega ona dekonspiracji.

Wreszcie ostatnia sprawa — szkoła. Starzy dobrze rozumieją wartość tajnego gimnazjum. Przede wszystkim od strony finansowej. Wojna dała okolicy wyjątkową okazję do edukacji za bezcen. Chcą mieć synów — „panami”. To co się dzieje zagraża wybitnie ich rachubie. Chłopaki się nie uczą i mogą być aresztowani. Wyuczulem wyraźnie, że we mnie widzą sprawcę tego zamieszania.

Stary Cieloch, który tam rej wodził, tak zakończył przemówienie, zwracając się wprost do mnie: „Pan profesor pewno załatwi to jakoś po myśli całej gromady, bo jest przecie naszych chłopaków — herszt!”

A właśnie, że przestałem być dla nich „hersztem”. Wiesz, że krążyła wśród chłopów wiadomość, jakoby był wyższym oficerem ze „szlabu”. Meldują mi się zawsze wojskowo. Legenda już się jednak rozwiewa, skoro „Konieczyna” wczoraj powiedział w obecności kilku kolegów, że gdybyśmy byli razem w akcji, to musiałbym go słuchać, jak każdy cywil.

To co Ty przeczułaś przed miesiącami, dziś widzialne jest w szczegółach jak odsłonięty mechanizm zegarka. Bataliony Chłopskie pozwoliły sobie odebrać samodzielność. Nadbudowa jest pańska. Chłopszy przywódca nie awansują. Wciąż to tylko podoficerowie walki wyzwoleńczej. Boże, nikt dziś bardziej nad nich nie kocha Ojczyzny i nikomu bardziej nie wystarcza słowo „oj-

czyzna”. Jakże ich oszukano?! Od miesięcy nie mówi się im jaka ma być Polska. Drażliwe pytania są systematycznie wymijane. Rzucono ich w partyzancką grandę. Zbiórki, broń, noc, strzały na ślepo, rabunek, wymyślania — oczywiście daje to upust energii młodzieży i pragnieniu ryzyka. Banderola patriotyczna osłania narastającą brutalność rzemiosła. Są, którzy z premedytacją okują tę młodzież w satysfakcji z samego Ruchu. A prawa ślepego ruchu są demoralizujące. Tracony z oczu wyższy, polski i chłopski sens podejmowanych akcji przeradza się w opisane przeze mnie brewerie, gdzie wyżywa się tylko potrzeba brawury i ruchu, a obciążone zostaje sumienie i spaczony charakter.

Kiedyż przyjdzie kres temu chocholemu tańcowi? Jesteśmy odcięci od radykalnej prasy. Do mnie dobił chyba jedyny na okolicę egzemplarz „Woli Chłopskiej”, gdzie młodzież lubelska stawia takie oskarżenie Londynowi, o jakim tu się nawet nie śniło.

„Bracia Chłopi, naszymi sprawami w wojennym zarządzie Stronnictwa Ludowego kierują nie wierni synowie chłopscy, ale „lokuje pańscy”, bo ci ludzie żyją pańskimi podszeptami i wspierają się na magnackich szczytach...” „Wy Wodzowie odgórni Stronnictwa Ludowego poszlście tym panom na rękę i zaprzedać swoje siły zbrojne. — Zapytujemy, kto Was do tego upoważnił? Czyście się chłopów pytali o to? Mało tego, wystawiacie na przetargi pańskie reformy rolną...” (autentyczny tekst z konspiracyjnej „Woli Chłopskiej” Nr 7 1944 r.).

Krysiu, miałaś rację. Gdzie tu etiuda rewolucyjna? Już się prawie nie bierze oddziałów chłopskich do zrzuć. A te, które jeszcze są wzywane nie dostają ich pod opiekę. „Orzeł” mówił mi przed tygodniem, że słyszał jak oficer na prośbę odpowiedział: „wykluczone!”, a po namyśle dodał: „chłopi mają czas, jeszczeby użyli broni tam, gdzie nie należy”. Najsmutniejsze, że „Orzeł” nie odczuł w pełni grozy położenia.

Znałogowano ich do partyzantki jako zabawy. Grzęzną w niej coraz silniej i nie bez zadowolenia. Jestem ostatnim, od którego pada cień na tę robotę. Stąd coraz większy między nami rozdźwięk. Zbliża się krytyczny moment starcia. Obie strony są tego świadome. Po spotkaniu ze starymi, będą pewnie czekać każdej godziny. I jestem pewien, że w postawie zaczepnej.

Jutro mam u nich lekcję. Omówienie I-go aktu „Wesela” Wyspiańskiego. Postaram się utrzymać w granicach materiału lekcyjnego. Im również będzie wygodniej przyjąć rozprawę nie wprost.

Czekaj listu.

RÓŻAN.

(C. d. n.).



# „Wies tworząca” — poległym

Stanisław Wojcik

## Ojczyźno moja!

(fragment)

Polsko, Ojczyźno kochana,  
Pokrytasz oto żalobą...  
Nie płaczcie... nie jesteście sama:  
— Polsko, my z Tobą...

Dziś z tobą zostali sami,  
kiedy wodzowie gdzieś pierzchli...  
— pewnie się bawić za granicami —  
...Polskę w dzień zgonów odeszli.

więc krzyczy miasto i szemrze wioska,  
iżes ty Polsko była sprzedana...  
Klepsydry wiszą oto na kioskach:  
orzel z swastyką czarną.

Sercu polskiemu nie zboleć  
żeśwa upadli nikczemnie —  
choć przyjdzie Polskę wyzwolić  
...honoru szukać — daremnie...

Gdzie honor i duma jest lasa?  
Gdzie duma chłopka a nasza?  
...Na Węgry płocho, tanecznie  
frunęła Polska... Czy wiecznie?

To ślina jest w pańskie oczy!  
Zetrą jak starli sto razy:  
nas taka ślina krwią zboczy,  
chłop mści się takiej obrzy...

Was są nie warci swego żywota —  
nie warci są ziemi tej deptać!  
na łeb, za Polski ich wrota —  
a kawał ołowiu — im reszta.

Niech spłacą się wasze grzechy,  
piorun wam boży wtóruje.  
Lud się wyzwoli z pod strzechy,  
lecz nędzę swą — wam podaruje...

Macieście za winy swe szlochać,  
gdy chłop u życia wstał bramy!  
Was nauczymy jak Polskę trza kochać!  
— gdy krzywdy jej... my wyrównamy.

Zakaszem więc ręce, przyłgniemy do roli,  
lecz szlachetę też prosim do młota:  
...na dziś dość jest waszej swawoli —  
lub skończą się grzechy — żywota...

Będziemy kuć Polskę stalową:  
— chłop jej wyorze granice...  
A chroniąc Polskę od wrogów  
chcemy w nią nowe wlać życie...

Jan Plesinski

## Na tułaczce w ciemnych borach

(fragment)

W koleś losu inna zabłysła nam faza:  
bo wolno na dnie borów, w słońca bohomażach  
w dzień se podrzemac — mile zasłuchany w basy —  
w gędźby konarów pieśni, by wieczór obcas  
wyciągać z rzyśk, torfowisk — a gdy ciemność, głusze —  
przenikać kraj cały ni spowiednik duszę.

W ręku już karabinek, pas, przy nim granaty —  
w polskich to wtedy rękach miasta, dwory, chaty.  
A kiedy później w lesie gestym ogień płonie,  
każdy przy nim zaduman — o życiu... o zgonie!  
Żona... czyli kochanka... cóż wobec rozkazu:  
„Naprzód, hej, maszerujcie na wioskę od lasu!”

Noc jest ciemna, bezgwiezdna, że o krok nie widać,  
a tu trzeba iść w oddal a karabin dźwigać...

...Za długim owym gajem znowu w głuchym borze  
przez dzień świeci nam słońce, czerwienią się zorze,  
aż księżyc wszędzie błądy; patrzy czujnie w oczy —  
a my w niego... w strażnika — by był nam pomocny:  
pamiętaj, byś nas ostrzegł, jeżeli gdzie czuwa  
na nas wróg... który wszystko w mrok nocy zakuwa!

Rozkołęba galezi: bór ciemny pulapem  
ochrania nas od wroga, od deszczów okapem;  
i do snu nas kołysze — natchniony w swej głębi,  
kiedy ptaszki śpiewaniem rozgrzewa nas z ziębi.

Stanisław Bojarczuk

## Do hołoty

Świt się zrózanił. Cały wschód się krwawi.  
Grot słońca z śród chmur — mgiełny ekran tęczy...  
I widnokreśny zachód się uwieńczył  
Zorzę — co w przesil zimny dziwy sprawi.

W przekór naturze, co sfery jaskrawi,  
Pseudo-ludzki ród wzajem się dręczy  
w wirze bezkresnej niby - praw obręczy —  
a bestializmem wzajemnie się trawi...

Żerepy chciwców, przekornych kulturze  
szczerzą kły, szpony, dzioby, rogi turze —  
ubite, przez się naciskane gromy.

A kunszt? Skarb myśli, przez odkryć ogromy  
i przez logiki pomnażany więźnie?  
Dziś w przepaściwym zimny błoć — grzęźnie...

II

Dziwny czas. Zima nie zięje swą paszczą.  
Nocą mróz szronu iskierkami nie śni.  
Dni zimny niby płaczowie boleśni  
nad męką człecznych spodleń — deszczem płaczą.

Nie dają mokrym wyschnąć lasu płaszcem  
szarganym pośród omszałych drzew pleśni...  
W lasach? Ni duchy, ni fauni leśni  
depczą te plazy — co się nazbyt płaszcą...

Jakoś się tępo zmieniają pejzaże!  
Wciąż wśród helotów — uczy baltazarze...  
Bez liku mnoży ofiary swe Ares.

Brzydko, acz ciepło. Zamiast sanny — błoto...  
Czyżes zmuszona tak leż wien hołoty,  
gdy... tam cię wita: Mane-Tekel-Fares?...  
Ludzień 1943 — styczeń 1944.

Leon Pokora

## LUD MÓWI

„Wies Tworząca” żyła duchem podziemia i brała udział w walce, wiele utworów naszych pisarzy było duchowym chlebem podziemia. Dziś chcemy wypowiedzieć wolne, nieskrępowane słowo, by jako wyraziciele mas ugruntować w narodzie pozycję rzeczywistości chłopskiej: tak socjalnej jak i artystyczno-literackiej.

Jako reprezentanci mas — bliscy przez to poziomowi (i duszy) chłopu — dobraliśmy specjalnie utwory pełne naturalnego prymitywizmu, utwory autorów samouków (prócz mojego stylizowanego wiersza) — ażeby jak najpełniej wypowiedziały się w nich duchowość chłopu.

Mimowolne, wydarte gniewem, pomstą czy miłością słowa wyrażające treść uczuć i pragnień chłopskich — znajdują swoisty, samodzielny styl wypowiedzi. Łatwo zrozumieć zastanawiając się i nad formą chłopskich wierszy i nad owym spletem problemów i zagadnień, które duszę nowoczesnego chłopu nurtują. — iż masy żyją bujnym wewnętrznym życiem. Ilość zaś piszących jest tak duża (pow. Kraśnik naliczył kilkunastu, a tak jest wszędzie zapewne), iż mimo oddziaływania niemal wyłącznie drogą kontaktów osobistych wpływ tej samoistnej kultury istnieje i kształci masy. Jest bowiem rzeczą pewną, iż człowiek bez kultury istnieć nie potrafi.

Brak było u nas w Polsce harmonizacji. Życie narodu musi się silniej związać z życiem chłopskiego podłoża i z niego czerpać sok odżywczy.

Publikacją paru utworów z lat walki i wielkiego przewrotu duchowego chcieliśmy złożyć hołd poległym w imię ideałów, które i chłop — twórca w głębi duszy wytwarzał, piastował, — a które teraz realizuje. W pracy tej „Wies Tworząca” iść będzie w pierwszym szeregu.

Leon Pokora

## Nasza wolność

Idziesz przodem — w zgrzebnej koszuli... cham.  
Idziesz przodem — nie za nagrodę —  
po strzał, grób wspólny... i ciszę...  
Po — „Wieczny odpoczynek racz mi dać...” — gdy —  
patrz —:

więźnię w rozkiś gliniastą  
rozbita kolbą głowa!  
Trwasz zaklęty w milczeniu pozycji...  
(więc nie... bo cóż?... bo jak...),  
Dławi krtani

— modlitwa o karabin.  
(nie sztandar to i order na grób)  
Ległeś, psów wycie cię już nie przeraża...  
Co przyjdzie z Ojczyzny rozstrzelanej —  
co przyjdzie ci chłopie — z wolności!  
Ścisk pięści, honorowy wzrok — to ty!  
— Tytanie wiosen polskich...  
Polska zamaria w lzy... rzezi w milczeniu woli.  
Spali — oślepy zemstą własną wieś —

a  
nad zarzynanym swym dzieckiem postaw chłopski  
rozkaz:

trwać.  
Trwać, gdy płacze bezdzietna polska ziemia — — —  
modlitwą rozkazu: „Na bagnety!”  
...Cóż, że ten wiersz tobie piszę —  
gdy — TY! — bojowcu chłopski — przywalony  
jesteś bryłami ziemi niepomuszczonej,  
grudami serca, psów wyciem... i co?...  
...Jutro runiesz — śmierć wiekusta,  
w — — — Chłopskie Życie!!!  
— Naszą Wolność.  
Listopad, 1943.

Irena Piecówna

## Przyjście

(fragment)

Pukając cicho w nocę zatrwożone  
głaszczecie nagły ból szeptem: „To my!”...  
Szczęk metaliczny, co różniej się śni,  
bluzga ciepłem! żyły rozprzestrzenia,  
— serce splomienia!!!

Idziecie z dala w bezmiar rozpostarty —  
w pustce żyć naszych rozstawiać warty,  
wpuszczacie nas w kraj swych dwudziestu wiosen  
przez udech tej broni... tego szumu sosen!  
Tak — bujna prawda tam, gdzie jeszcze  
wczorą  
nie wielkie było i krzyk-echo konał...

W niezapomnianym, śpiewnym kroków rytmie  
głazy gwiazd żarzą w tej serca modlitwie:  
Karabiny mają — naprawdę,  
swoi — naprawdę,  
— chłopcy żołnierze! jakże wyśpiewać  
prawdę tej prawdy...  
Prosta dziewczyna, trwożna dziewczyna —  
pójdę z wami  
zawdy!...

## Piosenka dziewczęca\*)

Jadą partyzanci hen drogą od lasu,  
cekaemy niosą, brakuje im czasu.

Kasia na próg wyszła, na drogę spojrziała —  
serce boli, z żalu omal nie zemdlała.

Wiozą mego Jaśka, ranionego niesą,  
po potyczce ciężkiej na spoczynek śpieszą.

A Jasiak przez nogi, a Jasiak przez ręki —  
ach Boże, mój Boże — jakie cierpi męki...

Janku, ty mój Janku, gdybym z tobą była,  
możeby w niedoli ci przecie ulżyła...

Spalabym przy tobie na złotym mchu w lesie,  
kochając nad życie w ciężkim ciebie losie.

...Bardziej niż był zdrowy, dziś, kiedyś kaleki,  
otwarte me serce dla ciebie na wieki...

Tyś był pierwszy, z tobą stawalam za progiem —  
i teraz przysięgam miłość ci przed Bogiem...

...Umiał Janek z bólu w jaworowym gaju,  
ale oto razem dwoje ciał chowają:  
ptaszki leśne nucą se na ich pogrzebie,  
że się pokochają setnie... ale w niebie...

\*) autentyczna pieśń partyzancka z okolic Włodawy.  
Autorem jej jest Jan Steciuk.



WITOLD ZALEWSKI

## POLSKA DROGA

Kroki zaplątane w słonecznej gęstwie. Buty obrosnięte kurcem jak kamienie przydrożne. Ale cięższe niż kroki, rana, głód i pragnienie są powieki. Położyć się tu na środku ciepłej drogi i zasnąć. Między krzakami woła woda. Kordian zanurza rozpaloną głowę. Żaby nurkują w błoto. Naprzeciw wychodzi rozłożysta wieś. Wyciągnięte ramiona opłotków witają rannego. Obok przechodzą rozpędzone kaczki i pomarszczona twarz w otoku ziemistej chustki: „pochwalony Jezus Chrystus”. Słowa podejrzliwe i badawcze. „Na wieki wieków” – sylaby rozciągają się jak paszport. Krzyk jasnowłosej gromadki wpada w kałużę i nagle zamienia się w ćwierkot wróbla. Dzieci stoją na krzywych nóżkach i wszystkimi oczami wieszają się ranionej ręki. Ból... Chłop stoi oparty o studnię. Wciąż woda. Wzrok jest ciężki, krzywdzący. – „obcięło mi palce w sieczkarni”. – „A u nas we wsi tylko co byli żandarmi”. Zimna woda krąży w żyłach. Słońce podpywa do gardła. Chłop już znikł w mrocznej sieni. Znowo droga, kurz i kroki. Żandarmi. Byli. Próbuje myśleć. Ale powieki są ważniejsze i cięższe. Zresztą kieszeń obciąża zimny, obojętny nagan. Jemu można zaufać. Dwie ostatnie kule drzemią w bębnie. Wyścierają. Nie rozstanie się z nimi żywy. Krew paruje z munduru i miesza się z słodką wonią dymanego nawozu. Szeroka piaszczysta droga wychodzi ze wsi. Taką drogą uciekał kiedyś ks. Odroważ. Goniły go przekleństwa i grad kamieni. Teraz jakże inaczej. A jednak plecy kamieniuje cień ostatniej mijanej chałupy. Wysoka radość przenosi go przez szczelny drewniany płot. Park. Kasztanowa aleja. Lipy. Szpaler róż. Brzeczące w słońcu pszczoły. Swojskość. Zew krwi. Wspomnienia rodzinnego domu. Już nie podtrzymują twarde, obojętne, chłopskie oczy. Miętko schronić się za słoneczną ścianę tego dworu. Nie dogonią mściwe cienie krzywych chałup. Do domu, między swoich jaśnie panicz Kordian. Gdyby tak w białej sukience złotowłosa panienka na ganku, a on, żołnierz krwawiący za Ojczyznę. Ale nie. Pusty, ogromny holl. Skrzypiąca podłoga, rogi jelenie i wysoki sufit. Dworski zapach. Pański zapach. Kultura i twarość. Piżmo. Tradycja. Coś pewnego, do czego można wrócić. Ołbrzymi dębowy stół, zegar trzeszczący i fałat. Niedźwiedź, jeleni, kuligi, błękitu biel. Wspomnienie Karczówki. Tu też ludzie o Tobie myślą. Z nimi można się kłócić, ale oni są swoi. Bracia i siostry, wuj i ciotki. Na nich można liczyć. Pełna, miła twarz schylona nad mapą pokłutą chorągiewkami. Znajoma twarz. Wstąpili tutaj kiedyś z kapralem „Wichrem” patrolując okolicę. W jasny, słoneczny, jak ten dzień, „Wicher” ścisnął pod drzewem roześmianą pokojówkę. „Pan mnie poznaje... pchr. Kordian” z łot. oddz. part. Byliśmy tu u pana parę dni temu z „Wichrem”. Taki wysoki blondyn. Nie żyje. Dostał osiem kul z rozpylacza, w piersi i w brzuch. Biliśmy się w parczewskich lasach. Otoczyli. Aleśmy się przebili. Trzy palce – chyba z nich nic nie będzie. Wiszą na ściągach. Muszę się dostać do miasta. Gdyby pan miał jakieś stare ubranie. Ale najważniejsze konie. Kordian widzi szczękające zęby i oczy, wyskakujące raz po raz z orbit za okno. Robi mu się mdło. A tamten już mówi: „Niestety, proszę pana, to wykluczone. Nie mogę. Pan rozumie... co innego wy, siedzicie sobie tam w lesie, ale my tutaj musimy, proszę pana, razem z tą ziemią... hm... pan rozumie – tylu ludzi, doniosła – zaaresztują... Nieszczęście spowodować. Cóż ja? Może kiedyś dowiedzie się. Zresztą mniejsza z tym. Robi się, pracuje, proszę pana, ale rozsądnie. A ubrania, niech pan wierzy, bolszewicy grasują, więc odesłałem, pan rozumie”. Kordian chciałby coś odpowiedzieć ale jest bezsensownie pusty. I tylko jedna myśl. Za wszelką cenę choć dwie godziny odpocząć. Tam na górze musi być taki pokój. Pusty, najlepiej pusty. Zamkną go tam na klucz i on do wieczora poleży. Będzie patrzył w sufit i o niczym nie będzie myślał. Odpocznie i pójdzie dalej. Ale pan mówi: „To niemożliwe, pełno służby, a pan wie, to wszystko wrogi. Wypatrz, doniosła. Zresztą mamy tutaj niepewną osobę. Taka żona oficera z Oflagu. Pan rozumie?” Kordian rozumie. Nawet kiwa głową i coś mówi. Tak... Tak... Tamten czuje się pewniej. „Ja pochwalam, ja uznaję wasze męstwo. Zresztą, proszę pana, niedługo pójdziemy wszyscy. Będziemy gromić. Pan wie w planach angielskich leży... Zresztą głupstwo. Pan zmęczony. Tak chciałbym w czymś pomóc”. Szybkim krokiem podchodzi do kredensu i przynosi kieliszek wódki... „Wyborna jałowcówka! Na wzmocnienie! Na drogę!” Kordian pije. Aż uśmiewa się do tych wspomnień. Przecież to na Karczówce częstowali fernali wódką, kiedy zmarznięci przywozili gości z sąsiedztwa... „A teraz niech

już idzie i jeszcze...” głos ściszony do szeptu – „gdyby coś, gdyby złapali, to trzeba mieć twardą skórę, nie sypać!”

Kordian kiwa głową. Jest mu wszystko jedno. Z pokoiku na górę i tak nic nie będzie. Zresztą ma pewnie silną gorączkę. W rękę tępy ból. Buty. Ta sama droga. Dworska Anabazis. Zegar trzeszczący, rogi, polskość, tradycja, przetrwać... „Byli i będą”. Strzępy dłoni kurczą się w pięść. Ból targa pozrywanymi nerwami. Przypomnienie. Fałat. Polowanie z kota bucha dym. Bigos. Tłusty bigos z kiebasą na Karczówce, na świątecznych łowach. Rozkosz. Pod drzewem stoi Wacław z dymiącą dubelówką. Ktoś krzyczy. Zając? Strzyj śmieje się, trzęsie się kurta na wyniosłym brzuchu – „W sam tyłek, w sam tyłek drobnym śrutem”. Sąsiedzi gratulują... „W sam tyłek trafił sąsiad dobrodziej – kowala naganiacza. A... a... drobnym śrutem karmiony!” – Chłopi kiwają z uznaniem głowami. „Ma stary cy!” A chłop jęczy. Leży pod drzewem i jęczy. Dlaczego ten chłop ma zielony mundur i jasne włosy? – To „Wicher”. To kapral „Wicher”. „Ha, ha, ha, – drobnym śrutem karmiony!... W sam tyłek! Ma stary cy!” Po twarzy mu spływa krew. Ktoś trzęsie go za ramię. Szczękające zęby. Aha... „Na miłość boską, pan omdlał, a tu może zaraz ktoś wejść. – No lepiej panu... świeże powietrze pana orzeźwi. Ma pan tu proszek od bólu głowy. Jak będzie gorzej, niech pan połknie. To ta wódka musiała panu zaszkodzić”.

Kordian wytacza się ze dworu. Jałowcówka krąży w żyłach. Za kieliszek wódki zamordowano „Wichra” i tylu innych. Rozpacz porwała go za włosy i wlokła tą samą, piaszczystą, polską drogą.

-----

Z fioletowej i złotej kupy nawozu dym unosił się niczym z misy pełnej dobrze omaszczonej kapusty. Kordian schylony nad bramą, wciągał ten zapach z rozkoszą w zmęczone płuca. Z pod nog zerwało się brudne stworzenie i poniosło krzyk do czarnej stajni... „Tatku, jakiś do nas przyszedł”. Odstawił widły i wyszedł przed zagrodę. Przed nim stał ranny z oczyma płonącymi gorączką i lewą ręką groźnie zaciśniętą w kieszeni.

„Chcę odpocząć!” Chłop gestem wprowadził go do chałupy. Wielka, bielona izba pełna była chłodu i cienia. Ranny wyciągnął się na twar-

## Jeszcze o oddziale wiejskim pisarzy

Sprawa zorganizowania się pisarzy-chłopów i pisarzy chłopskiego pochodzenia nabiera szerokiego rozgłosu. Niestety, jak to było na Zjeździe krakowskim literatów, z przykrością trzeba stwierdzić – nie wielu rozumie potrzeby organizowania się pisarzy-chłopów, wietrząc w tym reakcyjne zapędy, chęć odgrywania się – itd.

Sprawa zaś jest bardzo prosta. Po wojnie już nie będzie 10, czy 15 pisarzy chłopskiego pochodzenia, ale może ich być kilkudziesięciu. Wyższy stopień nauki i uświadomienia rzuci na drogę pisarstwa wielu ludzi wsi, zwłaszcza, gdy ujrzą oni jeszcze możliwość zawodu, możliwość zarobkowania w literaturze.

Trzeba tedy pokierować pracą wśród tych ludzi, dbać o nich, ułatwić im start, wyjść im naprzeciw. W tym celu powołany zostaje Oddział Wiejski Związku Zaw. Literatów, który będzie poza tym pomostem między wsią, a miastem, będzie zbliżał kulturalnie te dwa środowiska.

Po 10-tym październiku ogłosimy listę Zarządu Oddziału, spis członków oraz podamy warunki, kto może być kandydatem. „Wieś” będzie trybuną pisarzy zjednoczonych w Oddziale i w przyszłości po ustaleniu planu pracy zapewne ich organem.

W najbliższym czasie

JANA WIKTORA ESSEYE

z „Zapomnianych Źródeł”

dej, drewnianej ławie. Powieki opadały mu na oczy. Chłop patrzył na niego badawczo i litośnie. „A gdzie to wam dogodziły?” – „W parczewskich lasach – Niemcy”. – „Niemce, pewnie, że Niemce – a mnie wczoraj ostatnią szkapinę wyciągnęły z obory. Żeby ich. A dużo ich natłukły przynajmniej?” – „Ba... Ale i naszych zostało. Sami najlepsi. „Wicher”, „Cygan”, „Zygmunt”... Tacy chłopcy... kanalia się zawsze uchowa”. Zwrócił się ze złością do chłopca: „Ano pewnie, tam, gdzie drwa rąba – wióry lecą. Pamiętam we wrześniu, jak nas otoczyły pod tym Kutnem, czy jak tam, jak zaczęły pikować tymi bombami, o Jezusie. Jak zaczęły pracować armaty. Chłopaki srają ze sirachu. Ale nie trza się było zdawać. Niemcy rządzą teraz. Szkapinę ostatnio wyciągają. No i wyszło się wtedy z tego Kutna, cały z Bożą pomocą. A wam to gorzej, już z tej ręki musi nic nie być”. „Pewnie. Dwie doby bez opatrunku... gangrena może się wdać”. Chłop patrzył uważnie. Zaglądał w oczy Kordiana. „No to ja poprobuję. Pod Kutnem przy sanitariuszu byłem”. Dźwignął się z ławy i przewracał w kufrie między łachami. Wyciągnął kawał czystego płótna. Nalał w miszkę wody i począł z rannej ręki zdierać brudne, cuchnące szmaty. Milczeli. Po twarzy rannego spływały paciorki potu. Z przyciętych zębami warg sączyła się krew. Na białych ściągach wisiły fioletowe palce. Chłopu pot spływał z czoła, pracował całym sobą. Mądre ciało przeginało się, kurczyło, nachylało, stękając. Grube łapy poruszały się niezgrabnie, a delikatnie. Przemył ranę, oczyścił i zawiązał czystym płótnem. Kordian poczuł ulgę w całym ciele. (Ból tajał). Wyciągnął się na drewnianej ławie, oczy utopił w niskim, białym suficie. Pokój, pusty pokój... niestety niemożliwe... – pan rozumie... – to wszystko wrogi... Wstrząsnął się, obrócił głowę. Oczy spoikały, twarde chłopskie spojrzenie. Radość. Uśmiechnął się do niego szeroko, całą twarzą. Chłop ucieczył się. „No, ulżyło panu. A co pan zamierza dalej robić?” – „Muszę dostać się do miasta. Daleko?” – „Będzie ze 6 km. z ogonem. Ale tam żandarmy. Najlepiej będzie o zmroku, a przed tą policyjną godziną”. – „To mógłbym tu jeszcze parę godzin poleżeć?” – „Mnie tam izby nie ubędzie. A jakby żandarmi, to powiem, żeście tylko co weszli i nie mogliście wyrzucić. Broń macie?” – Kordian wyciągnął nagan. „Ładna sztuka. Powiem, żeście są z bronią i już. No to lećcie se tutaj i już, a ja skończę ten gnój po swojej szkapinie wyrzucać. Żeby ich grom zapalił”.

Obudziło go dotknięcie grubej chłopskiej dłoni. „Panie już czas”. Rzeško i radośnie. Na stole stała ołbrzymia flacha z wódką i dwie szklanki. „Golniem se przed drogą. Będzie się lepiej szło. Dobry bimber. Samem robił”. Kordian roześmiał się. „Gdybyście mieli jakie stare łachy, możnaby zamienić. To jeszcze całkiem dobry mundur. A ja tak iść nie mogę”. – „A nie, pewnie, że nie. Zawsze to w chłopskich łachach najbezpieczniej. Ale co ja, to wam chyba nic nie dam. Mieć to tam trochę mam, ale potrzebne. Chyba, żebyście to wzieni?” – Wyciągnął z kufra podarty waciak i poriki parciowe, dziurawe na tyłku. Kordian śmiał się, już zdjął spodnie i buty. Kiedy chwycił ze stołu nóż, żeby rozciąć kurtkę, bo nie można jej było zdjąć przez chorą rękę, chłop zaprotestował: „Panie, co wy robicie, toć jeszcze te trochę bólu możecie ścierpieć. Taką kurtkę, szkoda, panie. Chodźcie to ja w niej tera nie będę, ale jeszcze się przyda. Jeszcze ten mundur będzie ważny”. Kordian zaczerwienił się. Zaczęli wspólnymi siłami pracować nad zdjęciem kurtki, ale w połowie rękawa utknęło. Kordian jęczał z bólu. A rękaw zwał się tragicznie ku wyłotowi. W końcu Kordian odepchnął chłopca zdrową ręką i chwycił nóż. Chłop stękał, spocony. „Widać nie na pańskie siły. Jąbam ta zdjął, alem chłop”. Targnęło Kordianem. Rąbnął nóż o ziemię i zaczął ściągać kurtkę. Kiedy wspólnymi siłami uwolnili rękę, Kordian był bledy i pot kroplisty spływał mu po twarzy, ale śmiał się i żartował. Patrzyli na mundur, jak na wspólne dzieło. Siedli do stołu. Z miski dymiły gorące pyzy i radośnie bulgotał bimber. „No, za waszą drogą... jak was tam, panie?” – „Kordian” – „Kor... Korda... ee... wszystko jedno, – kolega, bo ja też żołnierz z pod Kutna. Nie myślcie se...” Wódka radośnie krążyła w żyłach, szumiała w głowie. Nikogo za nią nie sprzedawano. Kordian zęgnął się z chłopem. „No, to z Bogiem, panie Kaźmirz, czy jak wam tam... dziwno jakos...?” – „Kaźmirz, Kaźmirz... właśnie Kaźmirz”.

Radośnie niesły go dziurawe, chłopskie buty po szerokiej, polskiej drodze.



PAWEŁ KUBISZ

# Rebelija Goroli w Mostach

1

Chłopi w harestach, cysorz na tronie —  
Książę w Cieszyńsku prawa nóm krędnie!  
Kieże bezprawiom zacnie być kóniec?  
Hajduk i karwacz w dziedzinie władnie...

We Wydniu jeżdżom srybne karety,  
W strzybiach sóm szaty — w zlocie koróny...  
Kiedyż o kiedyż karwacz upletym —  
Na ty cysarski książynia, tróny?!

W gróniach jaskinie — w nich ucielnierzy;  
Dźwigli borocy kark przeciw władzy!  
...Zle Pónbóg w niebie żyć namierzył,  
Tam ludzie w zlocie — tu ludzie nadzy!

Buchnij płómińniem i zagorz buntym,  
W słów strasznym blasku rozgórz dnu szary!  
Gnietóm nas chechlóm cudze chomónty —  
Spisek umyślić... czas... czas — chachary!

Ciniczóm karwacze — książę nas drynczy,  
W płóg nas zaprzago — orze i włóczy,  
Czas się zbić w kupe, zebrać, spajeczyc —  
Meke rozrzarzyć i w siłę stłoczyć!

Zgorzknął nóm owies w chlebie skisnióny,  
Skisło nóm żyć pleśnióm zgryzane —  
Bodzie nas łobracz złotej koróny,  
Kiedyż o kiedyż, dźwignym się — wstanym?

Skuci rozkozom, mocóm zduszon —  
Boczym do świata czy idzie chwila,  
Stwardnyć i krzepnyć, na poploch zwónić,  
Rece zasukać, gorskość wychylać...

Obudzić spami dni jasnych ranym,  
Zgasić noc gniwym w światel powodzi —  
Wkopać do ziemi dzień zaguzdrany,  
By też, ciymniństwa, bydy nie rozdził!

Nad dziedzinami głos się rozjurgol,  
Chmury szczerznie osadym stękań:  
Już dość piolunu pic dali wargóm,  
Szkorupa krzywdy — niech zgrzypi, peko!

Wyleć w zawieje płómińni wiary,  
Szuteróm gradu — świszczym biczem,  
Sercem ubitym — kopniąc cinyżarem —  
...I głuchóm saluq chciyj się rozkrzyżować!

2

Zacupkały kroki, szuszcóm galcziska —  
Jedyn, dwa trzy ciymie... schodóm się gorole,  
Zabeczóm gębska, zaciśie ręczyska...  
Dyć w lesie narađa o prawa, o pole!

— Tak co lujcu Jónku... pón nas chce łokrođać —?  
— Pańszczyzna zniesionó i patynt wydany!  
— Bić się trzeba z panym... co bedym wykłodać!  
— ...Mómy kieć, noc dłoć, pujdym aż nad ranym.

— A wyście słyszeli, caty Śląsk się burzy!  
— Sóm wieści z Opola — sóm wieści z Opawy...  
— I w Brynnej gorole zaprzestali ciurzyć!  
Chyżocóm się drzewa w dziwnych słów kurzawie.

— Wycie... jo powiadać — wszyscy ci cysorze,  
Kraj nóm podzielić... aby nas rozdzielić!  
Ty siedzisz w tym państwie... ty w inszej kumorze,  
Nad wami wszystkimi nakaj się wiesieli!

— Jak stargać ty pęta i mieć Śląsk dlo siebie,  
Śląsk ze wszystkich granic, spód wszystkich cysorzy!?  
Tak dłoć, tak dłoć... chodźmy fót w pogrzebie  
Kłęczkami przed panym i nimogym ożyć!

— Szlachte wykatrzyć... książynia, wladyki!  
— Potym cysorz spadnie, potym nasza władza!  
— ...Szpiędzy chodźom wszędzi... cicho, cicho krzyki:  
Ciszij mówcie razym... ciszij się narađać!

Wieczór na sómiyuku, wielkucno zgraja  
Pańskich hajduków — kopce targata!  
— Wolóm: — nasz zagon... nie chcym się kajać!  
Kopiec za kopcem moc w ręce brała...

— Wzprzył się jedyn, wzprzył się drugi,  
Nima pańszczyzny, cysorz jóm cofny!  
...Migły karwacze jak ostre płógi  
Do naszych plecy, ból dziubnył, kopnył!

— Chciyj sprawiedliwość, bydnys i słaby!  
Siła to wszystko... stępi cię, zmiele,  
Cheóm cie mieć jymy pachotkym, drabym...  
— Nie tchórzcie chłopie... eee... mówcie śmielij!

— Wspomnij Oszele, chłopów buntował,  
Baróna w Kónskiej móg zadłaboczyć!  
...Potym go cysorz w hareście chował,  
Wszy go zgryzały — zmarlió, zdziwoczył!

4

A w cieszyńskim, a w książęcym zómku rwetes —  
Wrzeszczy książę — pluje w brode — Donner Wetter!  
— — — Do harestów pozawiyrać,  
— — — Pyskami deliny ściyrać!  
— — — I sprać mordy, porozbijac —  
— — — ...W Mostach... w Mostach — rebelija!

Tu dragonów mi zawolać... tysiąc starczy!  
Śpieszno służba krzyczy, woło — książę warczy:  
— — — Zmós pańszczyznę cysorz ciolek,  
— — — Przyznoł chłopóm moji siola!  
— — — U mje pańszczyzna być musi...  
Moja władza, bedym dusił!

Osiódlali prędko kónie... w galop jadóm,  
Karwacz wisi w każdym dloniach... tra... z paradóm!  
— — — Szable bijóm o ostrogi...  
Precz z chodnika, precz nóm z drogi!  
Podskakujóm w jażdżie gwery —  
Zerżnym, zmłóćmy... ty cholery!!!

5

— Cepy... widły, dragi, luznie,  
Szczypy aby było jasno...  
Naprzód, naprzód, szturmym hucnie!  
Prędyj niż nóm światła zgasnóm!

— Wszystki kopce wykolatać,  
W pański pole nimi furnyc...  
Niech się sapi złość bachrato,  
Każdy pón był dlo nas spórny!

— Dźwigaj, po... wykołydej;  
Ciężko, ciężko z ziemi ciągnąć!  
— Ciąg tym kamiyn, ciągniesz byde —  
Szak... po prawa musisz sięgnąć!

Łómie się kamiyn rozbity,  
Pot nóm ciurczy z czół schłónych...  
— Urodzaj będzie obfity,  
Daliż w granice spiętrzone!

Trąbka zagrała — podkowy w skalach  
Rzerzóm szelesty, jadóm dragoni!  
Nad lasym biolós z chmur się pisała —  
Dziesięć, sto, dwiestu... o!... tysiąc kóni!

Hef cepy, widły, luznie i dragi!  
W cysarski wojsko, naprzód gorole!  
— Błyśk wypód z gwerów, straszyl, uragó!  
Trupy się walóm hań w chłopskim polu!

Świszczóm karwacze... krwióm chłopie płaczesz!

## RUCHY CHŁOPSKIE w 18-tym wieku w Polsce

Na przestrzeni dziejów naszego narodu miało nie być ani jednej rewolty ludowej, podczas gdy kroniki innych narodów pełne są opisów buntu.

Ale kto zna dokładnie dzieje polskiego społeczeństwa, zaprzeczy takiemu utartemu pogładowi. Zapewne, łagodne usposobienie naszego ludu, jego położenie, jego ciemnota sprawiły że nie okazał tyle wybuchowości, co jego zachodni rówieśnicy, którzy czytać i myśleć umieli i mogli. Nie mniej ruchy chłopskie w Polsce, mimo że pomniejszane, mimo że przemilczane przez reakcyjnych historyków, mimo, że fałszowane na kartkach książek, wydanych przez nieprzyjaciół ludu — istniały i niech dzisiaj świadcza — że chłop był aktywny, że tak samo jak oddał krw pod Racławicami za Ojczyznę, tak samo czynnie walczył o swoje w niej prawa.

Było to w okresie wielkiej przebudowy społecznej i politycznej — w przeddzień wybuchu Rewolucji we Francji. W naszych dopiero latach przeżywa świat podobnie doniosłe wstrząśnienia. I w Polsce zbliżały się tragiczne przemiany. Rządy szlacheckie doprowadziły kraj do słabości, która miała się skończyć upadkiem i podziałem ojczyzny między trzy mocarstwa. Garstka mądrych patriotów zawiązała się w stronnictwo reform i wystąpiła do walki z przemożną magnaterią, która nie wahała się wezwać carycy Katarzyny do pomocy w obronie pańszczyźnianego systemu. Mimo zdrady, mimo przewagi wrogów, stronnictwo reform przeprowadziło szereg zmian, rozpoczętych zniesieniem prawa karania chłopów śmiercią przez pana, w r. 1767, a zakończonych konstytucją 3 maja, która zresztą załatwiała sprawę chłopów połowicznie i nieśmiało, bo tylko nadawała chłopom swobodę osobistą i zamieniała pańszczyznę na podatek. Zresztą było za późno: wojska carskie, pruskie i austriackie stały już u granic Polski.

Zanim do upadku doszło, reakcja szlachecko-magnacka wystąpiła z całą brutalnością w obronie przywilejów swej przewagi. Uległ jej słaby król Stanisław August. I wtedy to wybuchł wielki ruch chłopski, który trwał szczególnie na wschodzie i na Litwie przez długie lata.

Wybuch nastąpił w Zagorach, Janiszkach i Szawlach w połowie lipca 1769 r. Wszędzie chłopie szli gromadą na dwór uwiezić rządów. „Bierzcie dyspozytorów, gubernatorów i prowadźcie ich do Janiszek; teraz czas po temu”. Sprowadzono siłą wszystkich urzędników dworskich z okolicy i odbyło uroczyste sąd. Przeprowadzono ich przez rynek między dwoma rzędami ludzi, przy biciu dzwonów, w asyście księży, poczem odbyła się chłosta, a na szyje sądzonych włożono obroże, znalezione w więzieniu. Zławszcza zmianawidzony był niejaki Gruszas, który „brał dzieci do fabryk w Janiszkach, hańbił kobiety, odzierał brutalnie przy pobieraniu opłat, brał jako zakładników kobiety i dziewczęta i zapędzał je do fabryk. Powstańcy odesłali go po ukaraniu z listem: „Ponieważ już został odpowiednio ukarany, jednak daję się świadectwo, aby nikt go po drodze nie karał, ani bił, tylko oddał do rąk księdza w Szawlach, aby ratował jego duszę”.

Założono organizację powstańczą, której dowódcą został obrany nauczyciel wiejski Aleksandrowicz. Uchwalono, żeby nie chodzić na robociznę ani do dworu i powracać na dawne pola, z których założono folwarki. Ustają teraz akty zemsty, wydano zakaz grabieży. Jak mizerne były możliwości powstańców świadczy ustalona składka „po szostaku”. Uzbrojeni byli w kosy, dzidy i berdysze. Politycznie byli zupełnie nieorientowani, szukali konfederatów, których w tych stronach nie było. Po trzech miesiącach powstanie zostało krwawo stłumione przez wojska królewskie, przywódcy poddani torturom i ścięci.

Zamiast wyciągnąć wnioski i poprawić byt chłopów, król nakazał represje. 2-go sierpnia 1791 wyszedł uniwersał, czyli rozkaz do urzędów, nakazujący zbuntowanych karać surowo: „Że zaś lud ciemny z nienawiści i poduszczenia bardziej aniżeli z własnych skłonności zwykł się nakłaniać do występków, zalecamy urzędom, aby z pilnością śledzili takie osoby, które by lud do opierania się panom zachęcać ważyli się”.

Jak nam dzisiaj wypada ocenić te ruchy? Choćby nawet przyszło potępić gwałty rebeliantów, nie możemy zapominać, że było to jedno z najważniejszych w naszej historii czynne wystąpienie klasy chłopskiej, że już wtedy sprawę przemiany społecznej stawiał zbuntowany chłop na równi ze sprawą obrony ojczyzny.

Bo Manifest chłopski ostrzegał szlachtę przed walką z chłopem w obliczu trzech mocarstw, które przygotowywały się do rozbioru Polski. Treść jego była taka:

Gdy szlachta załatwi się z chłopem, zaborcy pozbawia panowania i samą szlachtę: „gdy nas wygubicie, panowaniu waszemu koniec położą”.

Zygmunt Kałużyński.



Dr. JÓZEF SPYTKOWSKI

Doc. Uniw. Jagiellońskiego

# Maciej Szarek — nestor pisarzy i działaczy chłopskich

Kto przeglądał dawniejsze roczniki czasopism ludowych z drugiej połowy ubiegłego wieku, ten musiał się natknąć na nazwisko Macieja Szarka, podpisywane pod setkami odezów do braci włościan, pod wierszami patriotycznymi i listami ze wsi. Nie każdy jednak wie, że Szarek jest najdawniejszym w Polsce chłopem — pisarzem. Postać Macieja Szarka dziś przez młodsze pokolenie działaczy ludowych zapomniana, była z końcem ubiegłego wieku bardzo popularna wśród chłopów małopolskich i śląskich. Żywot to i, osobistość ciekawa i godna przypomnienia. Wyrazistości nabiera ona dopiero na tle perspektywy stu lat, na tle mrocznych czasów pańszczyzny, gdy chłopci nie zabierali jeszcze głosu w literaturze.

Dopiero po upadku powstań narodowych 1831 i 1863 roku, gdy dochodzono przyczyny ich niepowodzeń, spostrzeżono, że część winy tkwi w nieświadomości narodowego ludu polskiego, który współ ze szlachtą nie mógł być wciągnięty do walki zbrojnej. Ze sfer inteligencji rzucono wówczas hasło: „Jest w ludzie siła niepożyta, zbawienie leży pod siermięgą” i w myśl tego rozpoczęto pracę oświatową nad ludem wiejskim a Szarek był jednym z pierwszych jej wychowanków. Po roku 1863 praca ta prowadzona była przez dziesiątki czasopism i broszur popularnych przeznaczonych dla wsi. Omal każdy wybitniejszy pisarz drugiej połowy ub. wieku, jak Ujejski, Orzeszkowa, Konopnicka i w. in., zaznaczyli swą działalność w pracy oświatowej nad wsią. Wysiłki ich zmierzały do jednego celu: do rozbudowania wśród chłopów świadomości narodowej.

Trudności były jednak duże, bo ledwie nieliczni spośród chłopów umieli czytać. Dalej musieli chłopci przezwyciężyć ciężar tradycji uprzedzenia pańszczyźnianego, niewolnicze przekonanie że odpowiednim zajęciem chłopca jest tylko praca na roli a nie nauka i czytanie. Siedzi odnosił się podejrzliwie do tych, co czytali gazетки; mamy na to dowody w wyznaniach samych chłopów. Wiedzano, że istnieje jeden rodzaj książek: „do nabożeństwa” i ci nieliczni, co czytać umieli posługiwali się nimi w kościele. Wszystkie inne książki, które były im niedostępne nazywano „Książkami zabawnymi”.

Otóż jednym z dawnych chłopów, który nie tylko poznał ten drugi gatunek książek, ale i sam chwycił za pióro i odezwał się do swych braci był w Małopolsce rolnik i flisak Maciej Szarek. Urodzony 4.II.1826 r. w Brzegach koło Wieliczki jako syn małorolnego gospodarza do żadnej szkoły nie chodził, bo szkół wtedy nie było w jego okolicy. Sam nauczył się czytać i wśród okoliczności, które opisał potem w pamiętniku p. t. „Bieg mego życia” poznał się z Kraszewskim, który zachęcił go do dalszej pracy. Szarek znał też inne osobistości ówczesnego świata literackiego jak np. Jana Kasprzowicza; korespondował z redaktorami pism ludowych, polemizował o sprawę ludową ze „Stańczykiem” hr. Stanisławem Tarnowskim profesorem uniwersytetu<sup>1)</sup>. Jest on jak na ówczesne stosunki chłopem wyjątkowo światłym; dowodem że śląscy działacze ludowi, którzy pierwsi w Polsce patronowali pracy oświatowej nad ludem i wzór jej stworzyli dla reszty kraju, słyszeć musieli o Szaraku, skoro, jak mówi Bojko we wspomnieniach<sup>2)</sup>, już w roku 1869 zaprosili go na Śląsk do miejscowości Sibicy; tam na zabawie narodowej wygłosił Szarek mowę wierszowaną imieniem ludu polskiego spod Krakowa, dając wyraz związkowi Śląska z ziemią krakowską. W roku 1877 przemawiał Szarek na wielkim wiecu chłopskim we Lwowie zwołanym przez ks. Stojałowskiego, a w roku następnym otwiera on przemówieniem wielki wiec chłopski w Krakowie.

Ci, którzy go znali osobiście (jak np. M. Czuba

<sup>1)</sup> art. „Do Pana hr. Stanisława Tarnowskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie”. Przyjaciel Ludu 1898, Nr 24.

z Grabia) wspominają jego okazałą bibliotekę w chłopskiej izbie; wspominają go jako organizatora miejscowego Kółka Rolniczego. Bojko poznał go w roku 1891 i, jako najlepszy znawca ówczesnego ruchu kulturalnego wsi, tak go charakteryzuje: „Szarek należał jeszcze do tej starszej generacji ludowców — chłopów, bezprogramowych politycznie a zawziętych patriotów. Za program miał jedną myśl, widzieć wolną Ojczyznę i lud polski światły, wolny i szczęśliwy, ale nie wiedział kędy droga do tego celu”<sup>2)</sup>. Istotnie należy Szarek do najwcześniejszego okresu ruchu chłopskiego lat osiemdziesiątych ub. wieku, w którym przeważa typ chłopca uświadomionego patriotycznie, ale podążającego jeszcze za programem inteligencji i duchowieństwa. U Szar-

ka wyrażało się to w jego poglądzie na katolicyzm, w którym widział ostoję polskości i zjednoczenie wszystkich warstw.

Ale nie tylko mówcą, także i niepoślednim pisarzem był Szarak. Pisywał do kilkudziesięciu czasopism ludowych. Pisarz to nadzwyczaj płodny; Bojko w jego nekrologu<sup>3)</sup> nadziwić się nie może, skąd ten chłop miał czas na pisanie tylu wierszy, listów, odezów, opisów i sprawozdań ze wsi, bo przecie własnoręcznie obrabiać musiał swoją rolę i gospodarstwo, a sam żył i umarł w nędzy.

<sup>2)</sup> „Maciej Szarek. Wspomnienia pośmiertne”, tamże 1903, Nr 7.

MACIEJ SZAREK

## PAMIĘTNIK CHŁOPA (II)

Ale czy kto potrafiłby nately opisać tę radość, z jaką powracałem ze swymi książkami z Krakowa do domu? I nie dałem im zalegać na jednym miejscu, brałem jedną po drugiej i całymi nocami czytałem, niekiedy z nich i dwa razy czytałem. Ile razy przez rok byłem w Krakowie, nigdy nie ominałem domu pana Franciszka Matejki, bo nie były tam dla mnie drzwi zamknięte, ani też jednego razu nie powróciłem od Pana Matejki próżno do domu, ale zawsze otrzymałem jakiegobądź dziełko, albo prospekt z rycinami, lub kilka numerów gazet wyczytanych, a to wszystko było drogim u mnie klejnotem. I tak bywało aż do 1860 roku. Można powiedzieć, że ten Pan Franciszek Matejko brat Jana Matejki, malarza, stał się najszerzej moim nauczycielem. A był on nately bibliotekarzem Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. I mogę powiedzieć, że z rodziną tą aż do ostatnich czasów przedstawiałem i temu rodowi mam najwięcej do zawdzięczenia za pomoc w oświacie.

W roku 1861 poszedłem na flis po Wiśle galarami ładowanymi solą do Warszawy. A w drodze bezustanku myślałem: gdyby mnie Bóg szczęśliwie raczył zaprowadzić do Warszawy, to już z pewnością kupię sobie książkę na pamiątkę z grodu czyli siedziby królów polskich.

Przybywszy szczęśliwie do Warszawy udałem się natychmiast po wyładowaniu soli i oddaniu jej do magazynu zwiedzić miasto. Chodzę sobie z ulicy na ulicę, aż przyszedłem na plac, gdzie stoi pomnik Zygmunta III, króla polskiego. Obejrzałem uważnie pomnik, a po chwili skierowałem się w przeciwną stronę, gdzie była księgarnia. Stanąwszy na chodniku przypatrywałem się pilnie wystawionym książkom za szybą, gdy nagle jakiś pan zagadnął mnie w te słowa:

— A cóż krakowiaku, podobają się wam warszawskie książki?

— Podobają, panie, — odpowiadałem — a nawet życzyłbym sobie kupić jaką książkę w Warszawie na pamiątkę.

— A to chodźcie ze mną — mówi dalej nieznamy pan — może się u mnie książka jaka dla was znajdzie.

Jak dowiedziałem się później, mój nieznamy był to Władysław Anczyc czyli Kazimierz Góralski, który pisywał książki dla ludu pod przybranym nazwiskiem. Zaprowadził on mnie do J. I. Kraszewskiego, sławnego na cały świat pisarza, ale ja ani jednego ani drugiego wówczas nie znałem, ani o ich imionach, niestety podobnie jak i cały lud polski, nigdy nie słyszałem. Nie wiedziałem przeto u kogo się znajduję i z jak zasłużonymi i znakomitymi mężami mam do czynienia.

Kraszewski rozmawiał ze mną życzliwie i długo, wypytując z którego jestem powiatu, jak się przedstawiają stosunki pomiędzy dworem a gminą w Galicji, a w końcu zapytał, gdzie chodził do szkoły. A gdy odpowieział, że tylko kilka tygodni chodziłem do organisty, a potem sam mozolną pracą nabyłem ową odrobinę oświaty, jaką posiadam, Kraszewski słuchając mego opowiadania aż załamał ręce na tak wielkie zamilowanie moje do oświaty i w te słowa do mnie się odezwał:

— Daruję wam Macieju kilka książek ludowych. Weźcie je sobie do domu, a dowiecie się z nich różnych rzeczy ciekawych i pożytecznych. — Jakoż za chwilę przyniósł z innego pokoju około dwudziestu różnej treści książek w ojczywym języku, położył je na stole i mówi: „Te książki są wasze, niech wam służą”. Uradowany u stóp Kraszewskiego złożyłem serdeczne podziękowanie za ten bratni dar, a zabrawszy owe książki, kieruję się ku drzwiom, ale Kraszewski zatrzymuje mnie słowami:

— „Nie możecie odejść ode mnie aż po obiedzie”.

Ułakłem się niemało na takie oświadczenie, bo jeszcze nigdy nie byłem u panów na obiedzie, ale nie śmiałem sprzeciwiać się woli tego, który mnie książkami obdarował. Gdy godzina druga z południa odbiła, a służący nakrył do stołu, zaprasza mnie znowu Kraszewski i sadza obok siebie. Proszę go na wszystkie obowiązki i całuję po rękach, bo i sukmana podarta i brudna i, co gorsza, podczas dwutygodniowej podróży po Wiśle, bo nately woda była mała, dzień jak noc pod gołym niebem pozostawałem; więc można sobie z łatwością wyobrazić, jak pięknie musiałem wyglądać.

Ale te wszystkie prośby i błagania nie odniosły pożądanego skutku: musiałem zasiąść do stołu wraz z dwoma jakimiś panami, dwiema paniami i Kraszewskim. Gdy znalazłem się tuż za stołem zastawionym potrawami i naczyniem, jakimem nigdy w życiu nie widział, odbiegła mnie przytomność, że nie wiedziałem, gdzie się znajduję i nie wiedziałem, co mam wziąć pierwszej w dawno nie mytą rękę i w jaki sposób owe potrawy dzielić. Szczerze wyznaję, że wolałbym poprzestać na suchym kawałku chleba, aniżeli u stołu zasiadać z panami, z którymi chłopci w owych czasach żadnej wspólności nie mieli i których mocno bali się.

Po obiedzie ze łzą w oku dziękuję za obiad, bo nie zwyczajny był takiej dobroci, a Kraszewski powiada: „Tak nam nasze prawo każe: z polską szlachtą polską lud”. Ja tych wyrazów nie zrozumiałem i nie mogłem domyślić się do czego to Kraszewski mówi, bo jeszcze nie byłem w narodowych potrzebach obeznany.

Podziękowawszy wszystkim po trzykroć za gościnność zabieram książki i chcę odchodzić, ale Kraszewski zatrzymuje mnie koniecznie u siebie do jutra, ale wytłumaczyłem, że zostać w żaden sposób nie mogę, bo paszporty wszystkich nas flisaków są na policji i dzisiaj będą w jeden pakiet zapieczętowane i oddane naszemu szyprowi, a ten je odda na granicy rosyjskiej, gdy nas będą felezować, więc każdy z nas flisaków tam ma być. Więc Kraszewski mówi:

— Kiedy tak, to dajcie mi, gospodarzu, swój adres: imię, nazwisko, miejsce zamieszkania i ostatnią pocztę, a ja wam także swój adres dam i proszę was niezadługo napisać do nas. A teraz poproszę tego pana — tu wskazał na jednego ze swych gości — aby was na kolej zaprowadził do waszych towarzyszy flisaków. Kupi on wam też bilet na kolej do Krakowa, żebyście swego krwało zapracowanego grosza nie rozdawali.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Bataliony chłopskie

Z artykułu Józefa Niecki w numerze 23 „Wici”, cytujemy:

Należy podkreślić ten fakt, że najpierwszym towarzyszem walki partyzanckiej, który pośpieszył w sukurs krwawiącym oddziałom B. Ch. był 30-osobowy dobrze uzbrojony dywersyjny oddział Czerwonej Armii.

Od tego czasu pojawiać się zaczęły w lasach oddziały partyzanckie i innych organizacji polskich. Dowódcy B. Ch. rozmawiali wtedy po prostu: Kto bije Niemca — ten jest naszym towarzyszem broni. Nie było i nie mogło być towarzysza broni jedynie tylko z N.S.Z., które miały już wtedy na sumieniu życie niejednego działacza chłopskiego.

Najczystszyimi towarzyszami broni były oddzia-

ły Czerwonej Armii, a później A.L. z oddziałami A.K. rozmaicie się układało: gdzie był dowódca rozsądny — tam panowała współpraca bojowa.

I w taki oto sposób ta ponad 100.000-tysięczna armia B.Ch. z górą przez trzy lata szarpała okupanta w każdym dziedzinie życia publicznego i wojskowego. Ta różnorodność zadań — które wyżej zostały przytoczone — z jednej strony utrzymywały w ruchu w akcji wszystkich zaszerogowanych żołnierzy, a po drugiej stronie, po stronie niemieckiej wywoływały te akcje wiele zamętu, niepokoju, dezorientacji, a bardzo często paraliżowały różnorodne zamierzenia okupacyjne. Odbijały się one ujemnie i na froncie — jako też osłabiały w okupancie poczucie pewności siebie w naszym kraju.



WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

# ...„W partyzantce nie jest źle”

## URZĘDOWY KONTAKT

Często bywa, że nim rozum do głowy dojdzie, już serce wszystko załatwi.

Toteż cały bezsens wyprawy zrozumiałem dopiero kiedy mnie pociąg wyrzucił na małej, ukrytej w lasach stacyjce, przy linii kolei żelaznej Kielce — Włoszczowa.

Pewno, że wszystkiemu winien „Lew”. To on wpadł niespodziewanie do mego domu i opowiedział o partyzantce.

„Partyzant to jest, rozumiesz, pan szerokich leśnych przestrzeni, łąk i pól. Dachem mu niebo — jak pogoda, a jak deszcz — świerk. To jest dopiero swoboda, ty, urzędniku niemieckiej administracji. Z nikim się nie boisz rozmawiać...”

Na zakończenie zaśpiewał:

„do tańca grają nam, bergmanów, steno w szczek...”

Wahałem się mimo wszystko, ale kiedy nawymyślał mi od tchórzów w sprawie narodowej, uciekłem z pracy i mimo protestów rodziny ruszyłem w stronę włoszczowskich lasów, wioząc z sobą mundur podchorążego z sanitarki, moją przedwojenną jeszcze dumę.

Ale na stacji przyszły refleksje. Przed oczyma stały mi konsekwencje wyłączenia się z legalnego życia. Lęk przed żandarmem a nawet granatowym policjantem.

Zaczepiłem jednak jadącą w stronę Oleszyn furę i ułożwszy się wygodnie w wasagu rozmyślałem czy odnajdę „Lwa”, który miał tam na mnie czekać. Tylko jak pytać. Pseudonim, czy nazwisko? Chyba pseudonim, żeby nie dekonspirować.

Prawda gospodarzu?

Odwrocił się wolno i patrząc długo na mnie odpowiedział:

— Ano musi, skoro pan tak mówi.

Kiedy tak jechałem owierzbionymi drogami, między szeregiem białopiętnych brzoź, popod zwisającymi Chrystami, zapomniałem o okupacji. Pan przestrzeni. Niebo dachem, bo pogoda.

Zaraz też nawiązałem rozmowę z gospodarzem. Kiedy się to skończy. Ludzie mówią, że ruski idzie. Głotom kontyngentami.

— A partyzanci u was są? — pytam.

— Niby chłopaki? — chłop obejrzał mnie dokładnie. — Jo nie wiem. — A później odwrócił się ode mnie i rzekł: „nimo”.

Ale ja wiedziałem, że sa. Wiec znowu pytam: „a „Lwa” znacie”? Ale stary zaciął koni i objaśnił, że dojeżdżamy do Oleszyn.

Poszedłem od razu na plebanie. Ksiądz powinien wszystko wiedzieć. Jadł właśnie czereśnie, modląc się z grubej książki. Był opalony jak „Lew”. Wiec od razu po partyzantku.

— Muszę dziś koniecznie złapać „Lwa”. Czy ksiądz nie zechciał by mi ułatwić (Na chwile zgubiłem to nieodwzowne potrzebne słowo)... no... kontakt.

Proboszcz patrzył na me zaprasowane spodnie, rękawiczki, to znów na kieszeń, w której trzymałem rękę. Zdawało mi się przez moment, że jakiś szczegół mojej garderoby jest nie w porządku. Spojrzałem po sobie. W porządku. Cóż ten kłocha?

A on zaraz, że nic nie wie, ba nawet nie rozumie, o co mi chodzi i prosi na kieliszek. Zezłościłem się i zakląłem jak niemiec, co u nas stał na kwaterze.

Donnerwetter!

Proboszcz zbliżył i zaczął się niemożliwie jąkać, więc powiedziawszy mu, że go pewno jeszcze odwiedzę poszedłem na wieś.

Zchodziłem wolno drogą od kościoła, podziwiając piękno okolicy. W dolinie myśliwski las, z boku lśnił biały dwór.

Z tyłu doleciało mnie jakieś sapanie. To pędziła w stronę wsi gospodyni księdza, łypiąc na mnie naprawdę złym okiem.

Boże, co za parafianiszczyna!

Tymczasem pełne kolory dnia przeszły w pastel i stało się coraz akustyczniej. Wieczór zyskiwał na melodyjności. Trzeba koniecznie złapać „Lwa”.

Zaczepiłem młodego człowieka w zielonych spodniach. Wyglądał na partyzanta i bardzo mi się podobał. Rozmawiał przez chwilę z księżą gospodynią i jak mi się zdawało, zerkali ukradkiem na mnie. Pewno mu mówi, kogo szukam — zawyrokowałem w duchu i spytałem głośno o „Lwa”.

„U nas we wsi nie ma lwów. Szukaj pan zwierzyzny w Krakowie albo gdzieś indziej”.

Z mimą obrażonego podniosłem walizkę i poszedłem do karczmy, bo mi się już chciało jeść. Nie bez zadowolenia zauważyłem, że budzę poważne zainteresowanie. Pewno biorą mnie za wysoko postawioną w konspiracji osobę. Sledzono dosłownie każdy mój ruch. Dla dodania sobie na znaczeniu zamawiałem wyszukiwane potrawy, placąc bez targu, jak delegat londyńskiego rządu. Na właściciela zrobiło to wyraźne wrażenie.

Istotnie skutki wrażenia, jakie musiałem wywrzeć, nie dały długo czekać na siebie. Ledwie uszedł kawałek od restauracji, wyrósł jak z pod ziemi młodzieńiec w zielonych spodniach. Tylko, że teraz miał wojskową czapkę i karabin.

„Pan pójdzie za mną” — rzekł sucho. To mi się podobało! Co za żołnierski ton!

„Naturalnie, że pójdę z panem”.

Aż przystanął ze zdziwienia, bacznie mi się przyglądając. Zaniepokoiłem się. Czyżbym pałnął jakie głupstwo? Napewno powiedziała mu gospodyni, kogo szukam i ma mnie teraz do „Lwa zaprowadzić. Czemu przystanął.

„No chodźmy, panie kapralu, bo już ciemno”.

„Nie jestem kapral, tylko plutonowy” — huknął nagle, ale poszedł.

„W chałupie umizgali się partyzanci do przedających dziewcząt. Na moje wejście zrobiło się cicho. Wszyscy powstał (dobry znak!), a olbrzymi albinos powiada:

— Jestem „Lew” — komendant żandarmerii połowej tego okręgu. Ale chyba nie ze mną szukał pan tego kontaktu. Łapy z kieszeni! Oczy mam mętne, ale walę czterdzieści strzałów na minutę i wszystkie trafiają.

Dopiero teraz zauważyłem, że mierzy do mnie z olbrzymiego rewolweru. Oburzyła mnie ta komedia. — Istotnie nie pana szukałem. Pańska biografia bardzo mnie ciekawi, ale ja szukam „Lwa”, którego nazwisko brzmi...

Z za kołowrotek wyskoczyła księża gospodyni. „A co — nie mówiłam? Szpicel — cholera!”

Dopiero oprzytomniałem. Żołnierze otworzyli błyskawicznie moją walizkę i odskoczyli od niej. Po chwili nachylił znowu wolno nad nią głowy. Nawet albinos.

W blasku karbitowej lampy błyszczały na mundurze znaki podchorążego.

## ANI KORDIAN ANI CHAM.

Szło się wąską ścieżyną wśród sennych wód. Mgła-wy dzień wyglądał jak mleczna kula, domysłny i wieloznaczny na krawędziach widzenia.

Niekiedy trzeba było przechodzić wąską kładką. Gdzieś indziej znów zapadało się w bagno.

STANISŁAW SKONECZNY

## Pamięci przyjaciela

*Senny zmierzch nad moim miastem. Żegna dzień odchodzący*

*ciszę przedmieścia. Sady chłoną chłód, który wiatr daleki przywiał. Ciszę żaden krzyk nie zmąci.*

*Zachód dojrzały pachnie, jak chleb i miód.*

*Białe płatki, kwiat na kasztanach. Niebo wybuchnie gwiazdami.*

*A ja myślę o tobie, przyjacielu, na omijanej przez wszystkich ścieżce.*

*Włosy gładzą powiew pluszowymi rękami, usta całuje chłód, jak w sentymentalnym wierszu.*

*Łomocze wiatr krajobrazem ubogim. Jak mi nie myśleć o tobie? Dymią bliskie zagrody.*

*Gnąją bydło. Kurz wypływa z pod racie na drogę. Drzewa idą w noc czarnym pochodem.*

*W okna chat horyzont bije pożogą. Modły się w noc spokojną, niespokojne brzozy.*

*Ale moje usta nie mogą się modlić, ani mówić nie mogą. Turkoczą wozy.*

*Na piasku dzwonią kroki brzękiem żołnierskich łopat. I jedno powraca uparcie:*

*twoje życie przysypał ziemią i listowiem liśtopad.*

STANISŁAW SKONECZNY

## Oblawa

*Głębie wzmiesionych drzew łamią pociski, liście jak zestrzelone ptaki spadają, kołując na ziemię.*

*Warkot samochodów gra ciężko od wsi pobliskich. Złamany chojak nad ścieżką, jak padający niemiec.*

*Mgły napływają do lasu w trąkocie mitraliez, ranek świeci słońcem przetartym białym obłokiem.*

*Dzień się wydłuża w cień wież niezbombardowanych kościołów na wzgórzach,*

*wojennym rokiem.*

*To drzewa się trzęsą pełne soków i garbów. Z ognisk dopiero co rozpalonych sęczy się wąty dym.*

*Z za pni po mchu zielonym w zieleni żandarmów rozwarł się szczęk maszyn, kaski i zły.*

*Las w gąszcz zamaskował zaskoczonych, nie obcy. Karabinom w poszyciu lufy gorzały.*

*Nogi nie czuły zmęczenia, gdy odrywały się od wroga. Kopce*

*mrowisk ciszą południa nakryte białą.*

*Czerwiec zboża na polach falował. Owiany lekkim wiatrem kołysał się obłok.*

*Nocą już nieścisgami w innej stronie rozłożyli się na odpocznym.*

*Był deszcz. Mokro.*

\*) Wiersze ze zbioru „Z lasu”.

Olbrzym „Wiewiórka” prowadził rzeczywiście doskonale. Był z tej ziemi i znał każdy jej skrawek.

„Wiewiórka”?

„Tak jest, obywatelu podchorąży!” „Co tak jest! Ja się was chcę spytać, czy daleko jeszcze do obozu?”

Milkły ostatnie chóry ptaków. Gestniejąca mgła utrudniała posuwanie się. Szczęściem weszliśmy na twardy grunt.

„Obóz zara będzie...”

Po chwili przydzielony mi rozprowadzający podawał warcie obozowej hasło i weszliśmy między szalasy grupy B. Ch. porucznika „Jana”. Zameldowałem się jako ochotnik.

„Chłop jesteście?”

„Nie, panie... obywateli poruczniku”.

„To dlaczego przyszliście do nas?”

Musiałem więc opowiedzieć jak to zaprowadzono mnie do delegata S.O.S-u, który zapytał mnie gdzie chcę iść. Do Z.W.Z-u, P.O.Z-u, N.S.Z-u, W.R.N. Polska Życie, czy B. Ch. Zapamiętałem to ostatnie.

Porucznik uśmiechnął się smutnie i odeszedł. Zaraz otoczyli mnie żołnierze. Same chłopskie, zdrowe i uśmiechnięte twarze.

Kapral „Szczygiel” zapytał jaki mam pseudonim. Odpowiedziałem, że chciałbym nazywać się „Korab”.

„Wiewiórka” nie wytrzymał. Przyjawszy postawę zasadniczą powiada:

„Ob. podchorąży, kolacja zara będzie, ale co to znaczy... e... „Korab”, bo „Wiewiórka”, „Szczygiel”?

„Wilk” to ja rozumiem. I zaczęło sobie pokpiwać.

„Mędrzec”, — czujesz, od tego... Koraba załatuje perfuma”.

Ktoś zauważył, że mam wyprasowane spodnie, a grupy nie zaproszono do żandarmerii na bal, inny znowu pokazał palcem mój sygnet. Wyciągnąłem więc książkę, żeby się wiedza odgrodzić od kpni. Ale mnie zaraz ciasnym kołem otoczono i zaczęło z ciekawością pytać, co za tytuł nosi książka.

„Kordian i cham”! — wrzasnąłem. Ale nikt się nie poznał na dowcipie.

Po chwili opowiadałem kolegom o Deczyńskim i potrzebie uświadomionych i ogólnonarodowych powstań. Przysiadł się i por. „Jan”. Zapłonęło ognisko. Atmosfera naserczeniła się. Pilnie słuchając podawano mi sercziolotą przyjaźń.

Jeszcze tego wieczoru uczyłem przyjaciół śpiewać żołnierskie piosenki na dwa głosy.

„Pseudonim otrzymacie po pierwszym wypadzie” — rzekł por. „Jan” odchodząc.

A wykłady z chłopskiej literatury stały się tradycją.

## „KORAB” I „BAŚKA”.

„Szkoda, że Don Kichot nie miał mojej „Baśki” — pomyślałem dosiadając przyznaczonej mi klaczy. Byłby napewno więcej zadowolony niż z Rossynanta, bo prócz wszystkich jego cech posiadała „Baśka” tylko jedno oko.

Ważniejsze jednak to, że po tym wypadzie dostane wreszcie partyzantkie imię.

„Wiewiórka”! a pilnuj dobrze podchorążego” — rzucił za nami kapral „Szczygiel”, grożąc olbrzymią pięścią.

„Tak jest, obywatelu kapralu!”

Rzadki sosnowy las, widziany z oddalenia wyglądał w zachodzącym słońcu jak krwawy grzebień.

„Wiewiórka”?

„Tak jest, oby...”

„Co, znowu tak jest! Jeszcze nic nie ma. Ani mi się waż mnie pilnować!” — To rzekłszy przesunąłem parabelum ku przodowi. Na plecach przyziemny ciężar K. B.

Gdybyś mnie teraz, Hanko, widziała!

„...gdybyś mnie teraz Hanko widziała, nie chciałabyś nawet spojrzeć na mnie. Leżę, postrzelony w prawą nogę. Mundur podarty i poplamiony, ale jestem szczęśliwy. Ta walka była wspaniała!”

„Wiewiórka”!

„Tak jest...” — głos mu w gardle uwiązł, kiedy patrzył na moją nogę.

„Opowiedz no, jak to było...”

Do szalasu wślizgnęli się cicho moi uczniowie.

„Ano, ob. podchorąży nie chciał, żeby go pilnować. Pojechał do środka wsi. Usłyszałem strzały. Jadę i patrz! Kobyła skubie trawę, a podchorąży leży zemdlony. Ziandarmów nie było...”

„Łżesz! Jaki to było!”

„Uciekły”

Odetchnąłem z ulgą.

„A zabiłem jakiego?”

„Wiewiórka” tłumaczy, że obydwu napewno zranilem, ale mieli jeszcze siłę uciec.

„A mnie z czego trafiło?”

Milczy. Wreszcie powiada ciężkim głosem, że po kilku moich strzałach, jak opowiadała chłop, „Baśka” stanęła dęba, ja spadłem na zmurszały płot, zawałitem go, wbiłając sobie w tyłek zardzewiały gwóźdź. I zemdląłem.

„...nie będę tego listu kończył — rzekłem — dokończę po drugim wypadzie. Jaki mi dajecie pseudonim?”

„Z tej roboty wynika — mówi sierżant „Wilk”, — że podchorąży powinien nazywać się „Korab”.

Opadłem na posłanie. W szalacie zrobiło się cicho. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem nad sobą sześć zaniepokojonych twarzy.

„Przyjaciele, jutro pomówimy o tym, że Czepiec to chłop wykonywujący, ale jeszcze nie kierujący. A wy musicie już kierować!”

„Wiewiórka” zszywał mi spodnie.



## Poeta — żołnierz

Tomik Skonecznego\*) budzi wrażenie zetknięcia się z czymś dobrze znanym, z czymś zapamiętanym z lat bardzo odległych i mocno tkwiącym we wspomnieniu młodzieńczych wzruszeń. Ta mała, skromnie wydana książeczka jest ważna przede wszystkim jako jeden z ogniw tej tradycji poezji polskiej, która otwiera „Pieśń o spustoszeniu Podola” Kochanowskiego i piękna elegia Sępa-Szarzyńskiego o śmierci Frydrusza. Tradycja poezji patriotycznej, zawsze u nas bujna i bogata, nie określa jednak jeszcze w zupełności zbioru Skonecznego. Najbliżsi mu tonem i stylem wypowiedzi są poeci-żołnierze Wielkiej Wojny — Małaczewski, Maczka, Długosz.

Poezja ta jest właściwie „poezja stosowana” i niepożądana używać w stosunku do niej tych samych kryteriów oceny, jakie obowiązują w stosunku do poezji „czystej”. Wartość jej bowiem tkwi nie w kunszcie formalnym, ale w jej społecznej sugestywności, o znaczeniu tej poezji decyduje stopień jej wpływu ideologicznego na możliwie najszerszy krąg odbiorców. Nie znaczy to bynajmniej, by liryka żołnierska miała rezygnować z walorów estetycznych. Nie było tak u Maczki i Małaczewskiego i nie jest tak u Skonecznego.

Inna sprawa, że poetyka autora „Z lasu” stanowi nawrót nawet nie do „Skamandra”, a raczej aż do późnego okresu Młodej Polski. Nie ma tu wcale żadnych ambitniejszych poszukiwań formalnych. Jeżeli chodzi o wersyfikację, przeważa normalny czterowieś, jeżeli chodzi o „chwyt” stylistyczny najczęściej znajdujemy porównanie i omówienie. Zasób słów, jakim operuje Skoneczny jest dość bogaty i stosunkowo nie wiele w nim banalnych „poetyczności”, ale mamy tu za to sporo rażących prozaizmów. Troska o bezpośredniość wypowiedzi, o to, by była ona jak najbardziej dostępna dla odbiorcy, przeważa u Skonecznego zdecydowanie nad troską o „literacką” formę wierszy. To lekceważenie formy można rozpatrywać z dwu stanowisk: ze względu na samego poetę i ze względu na określoną funkcję społeczną jego poezji. W pierwszym wypadku literacka niedbałość budzi obawy o dalszy rozwój talentu, stwarza niebezpieczeństwo sentymentalno - emocjonalnego manieryzmu „bezpośredniości”, który niewątpliwie grozi Skonecznemu; patrząc jednak na drugą stronę medalu trzeba przyznać, że stanowiąc do większej liczby czytelników przemówiła ta żołnierska, bezpretensjonalna liryka niż poawangardowe, niewątpliwym epigoniem nacechowane zbiorki Włodki czy Machejki, chociaż ci poeci mają przed sobą może daleko większe możliwości rozwoju.

U Skonecznego nie ma wierszowanej publicystyki i literackiego mędrkowania. Poezja jego — to szczerza, prawdziwa poezja żołnierza, którą tak pięknie określił Maczka:

Starym Ojców naszych szlakiem  
przez krew idziem do wolności!  
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem —  
my — żołnierze sercem prości...

Spotkałem się z opinią, że jedynym autentycznym poetą wśród partyzantów był Władysław Machejek. Niewątpliwie „Leśne oczy” są publikacją godną uwagi i zapowiedzią nieprzeciętnego talentu, ale co do mnie bardziej reprezentacyjnymi dla naszych „leśnych ludzi” wydają mi się partyzanckie utwory Stanisława Skonecznego i znanego satyryka Stanisława Jerzego Leca. Sa to bowiem nie utwory artystowskie, ale prawdziwe wiersze żołnierskie.

I to właśnie jest najważniejsza, ta prosta, bezpośrednia żołnierskość liryki Skonecznego, która decyduje, że autor „Z lasu” zajmuje w poezji naszej pozycję może nie pierwszorzędną, ale za to naprawdę odrębną i prawdziwie własną. Tomik Skonecznego zasługuje na to, by znalazł się w każdej biblioteczce świetlicowej, by trafił do rąk żołnierzy i młodzieży szkolnej.

STEFAN LICHANSKI

\*) Stanisław Skoneczny: Z LASU, poezje. Radom 1945, nakładem Instytutu Naukowo - Społecznego, str. 23 + 1.

### WARUNKI PRENUMERATY:

|                                      |       |
|--------------------------------------|-------|
| Numer pojedynczy . . . . .           | 5 zł  |
| Miesięcznie . . . . .                | 18 zł |
| Kwartalnie (za 13 numerów) . . . . . | 52 zł |
| Półrocznie (za 26 numerów) . . . . . | 95 zł |

Wpłacać należy na adres:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Dział prenumerat, Łódź, Piotrkowska Nr 62 (z zastrzeżeniem: „na tyg. „Wieś”)

### ORGAN ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.

KOMITET REDAKCYJNY TERENOWY: Śląsk — Kubiś Paweł, Podhale — Nędza-Kubiniec Stanisław, Krakowskie — Frasiak Andrzej, Kieleckie — Pięta Stanisław, Lubelskie — Pokora Leon (ze „Wsi Tworzącej”), Warszawskie — Kubicki Marian, Łódzkie — Bojar Józef.

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96

Drukarnia: Łódź, Żwirki 2.

D-01684 Wydawca: Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik”

## Niebezpieczeństwo niemieckie

„Odra” staje się z każdym numerem pismem coraz bardziej interesującym — Przede wszystkim w zakresie publicystyki. W ostatnim numerze wybijają się na czoło materiały artykuł wstępny Tadeusza Boronowskiego: — Obowiązek czujności — jasno, ostro przedstawiający niebezpieczeństwo niemieckie dla naszego Państwa na ziemiach zachodnich.

Autor pisze: „Już dzisiaj ujawnia się od wypadku do wypadku instrukcje podziemnego ruchu niemieckiego, nakazujące przyznawanie się do polskości, utrzymanie się za wszelką cenę na polskich terenach, intensywną infiltrację przez element niemiecki polskiego życia społecznego drogą czynnego udziału w nim nawet i w szeregach organizacji o zdecydowanie i aktywnie niemieckim nastawieniu”

Tęba by cytować cały artykuł. Boronowski wykazuje niedołęstwo nasze i lekkomyślność w stosunku do zagadnienia niemieckiego na Śląsku, które są naprawdę zairażujące.

## Poza społeczeństwem

Pomimo ogłoszenia przez rząd amnestii dla dywersantów z nielegalnych organizacji bojowych i pomimo dobrowolnej dekonspiracji Armii Krajowej nadal przynosi prasa wiadomości o skrytobójczych mordach na tle politycznym. Jest rzeczą jasną, że wielu ludzi, może nawet wartościowych, zdeprawowały warunki wojenne i udział w organizacjach konspiracyjnych o mocno mętnej i podejrzanej ideologii. Dla tych wszystkich jednak otwarto drogę powrotu przez ogłoszenie amnestii. Dziś więc nie ma okoliczności, które w jakimkolwiek stopniu łagodziłyby winę pseudo-ideowych zbrodniarzy.

Podstępny mord nie jest środkiem walki, który mógłby być tolerowany w jakichkolwiek okolicznościach, ale zwłaszcza dzisiaj, kiedy ofiarami zbrodniarzy padają Polacy i to przeważnie ludzie wartościowi i ideowi, zasługuje on na jak najsurowsze potępienie. Dziś można z całą pewnością powiedzieć, że ręką wymierzającą śmiertelny cios Polakowi o odmiennych przekonaniach politycznych kieruje świadoma zła wola.

Zbrodniarze polityczni odcięli się od społeczeństwa polskiego nie tylko swoją antydemokratyczną ideologią ale także pogwałceniem najprymitywniejszych zasad etycznych i najbardziej elementarnego poczucia godności ludzkiej i obywatelskiej. Zło musi być usunięte nawet jeżeli w tym wypadku trzeba będzie zastosować najsurowsze środki. Niechże więc ci, którzy wobec społeczeństwa zajęli postawę zdecydowanej wrogości, nie dziwią się, że społeczeństwo będzie ich traktować tak samo, jak traktuje się wilki czy jadowite węże.

### PRZED LATY:

„POLSKA LUDOWA” (organ stronnictwa chłopskiego), rok 1935, — dn. 21 lipca — po uchwaleniu konstytucji sanacyjnej — cytujemy z artykułu wstępnego:

„Front przeciwcłchopski a świat pracy”

„Jak daleko sięga „narodowy” front faszystowski? Mimo sporów wewnętrznych wynikających z różnic klasowych i z ambicji przywódców, sięga on od Obozu Narodowo Radykalnego (O.N.R.) aż do Narodowej Partii Robotniczej (N.P.R.) ogarnia zaś Chrześcijańską Demokrację i część ludowców. Wystarczy przypomnieć, że polscy chłopcy i robotnicy, którzy życzliwie przywitani „rewolucję majową”, jako zwrot na lewo, również nie prze-czuwali jakie będą skutki przewrotu majowego.

W oszczerstwach przeciwnicy nasi zarzucają nam, że Stronnictwo Chłopskie jest filią i komunistyczną i sanacyjną. Czyli, że służy ono sanacyjnemu rządowi i, że równocześnie ten rząd zwalcza.

Te oszczerstwa mają i dobrą stronę. Stwierdzają, że Stronnictwo Chłopskie i jego przywódcy nie mają nic wspólnego z wrogami ruchu chłopskiego. Nie mają nic wspólnego z „faszyzmem narodowym”, jak nie wspólnego i z „ludowcami” pacholami sanacyjnymi, i nie wspólnego z „ludowcami” z ogona faszystwu „narodowego”.

### Książki nadesłane do redakcji

Władysław Machejek — Leśne oczy (wiersze)  
Adam Włodek — „Najciekawszy sztandar” (wiersze)  
Stanisław Skoneczny — „Z lasu” (wiersze).

### W najbliższych numerach o teatrze ludowym

## MATERIAŁY W REDAKCJI

Jan Bolesław Ożóg — nadesłał rękopis szkicu po-wieściowego „A postać” i zbiór wierszy pt. „Muzeum parafialne”.

Józef Morton — nadesłał fragmenty z powieści pt. „Inkluzowe wiano”.

Stanisław Jucha — nadesłał rękopis cyklu wierszy pt. „Polska jesień” i wybór autentycznych pieśni ludowych.

Józef Pogan — nadesłał rękopis powieści pt. „U góry”.

Józef Bojar — nadesłał większy fragment z powieści dla młodzieży pt. „Złamane prze-konania”.

Anna Wolska — nadesłała rękopis pt. „Z pamiętnika wiejskiej lekarki”.

Anna Kowalska — nadesłała dłuższe opowiadanie pt. „Marnotrawny ojciec”.

Władysław Milczarek — nadesłał poemat pt. „Syn cieśli”.

Nr. 10 „Wsi” zawierał: Jan Aleksander Król: Sztuka — najtańsze dobro biednych! — Jan Baranowicz: Pieśń osadników. — Zygmunt Kalużyński: Oberek świętokrzyski Józefa Ozgi-Michalskiego. Józef Ozga-Michalski: Noga. Grusza. — Stefan Lichanski: Rzeczywistość chłopska a literatura (do-kończenie). — J. A. Król: Echa zjazdu krakowskiego. — Jan Baranowicz: Wieczera. — Józef Andrzej Frasiak: Prolog. Pod śpiew żyta. — Edward Marzec: W jedynej będę dziś rozterce. Przed snem. — Pamiętnik chłopca pańszczyźnianego Macieja Szarka. — Zygmunt Sierp: Kartofle. — Stanisław Nędza - Kubiniec: Taniec zbójnicki. — Stanisław Pięta: Listy do młodego poety. — Stefania Rudnicka: Jechałem se. — Jantek z Bugaja: Bocian i wróbel — oraz listy ze wsi, kroniki i komunikaty.

Redakcja tyg. „Wieś” dziękuje Józefowi Ozdzie-Michalskiemu za ofiarowane 50 egz. tomiku poezji pt. „Oberek świętokrzyski”. Jednocześnie prosi Józefa Andrzeja Frasiaka, Machejkę Władysława, Przy-bosia Juliana i Skonecznego Stanisława o nadesłanie 50 egz. wydanych tomów wierszy.

Służyć będą one młodym a nie mogącym sobie pozwolić na kupno, literatom chłopskim — jako przykłady współczesnej twórczości poetyckiej.

### KONKURS NA SZTUKĘ

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego Łódzkiego, Wydział Kultury i Sztuki przy Zarządzie Miejskim w Łodzi, Państwowy Urząd Informacji i Propagandy, Związek Zawodowy Literatów, odd. w Łodzi, Związek Artystów Scen Polskich TUR, Towarzystwo Ludowego Uniwersytetu Teatralnego oraz Sekcja Teatralna „Wici” przedłuża termin konkursu na sztukę dla świetlic do dnia 1 listopada 1945.

I nagroda zł 5.000,

II nagroda zł 4.000,

III nagroda zł 3.000.

Prace należy nadsyłać pod adresem: Urząd Wo-jewódzki Łódzki, Wydział Kultury i Sztuki w Ło-dzi, ul. Kościuszki 70.

FRANEK SWARZYCA

## NA „ZAKOCHANYCH W POMORZU”

(zamiast recenzji)

Władzio (Milczarek) — zakochał się w Zosi, ale Zosia (Dróżdż) we Władziu — nie może. A ponieważ ma dobre i czule serduszko pedziła: — Władziu — jadźmy na Pomorze.

Pojechali...

Brzeg morza, woda i piasek...

Zwiedzali: — Koszalin, Szczecin i Jastarnię a serce Zosi co rusz więcej do Władzia się garnie.

Spacerki w uroczych blaskach księżycy dwa serduszka na muszelkach sobie wróżą — i doszli, że w ich sercach niewielka różnica, wrócili ZAKOCHANI — w sobie a — piszą w — POMORZU.

Moral z tej bajki-sielanki jest tęgi: gdy się bracie z kobietą dogadać nie możesz — łap Zosię z Łodzi, Kutna czy Warszogi i wal jak w dym — prosto na Pomorze.

Zofia Dróżdż i Stefan Milczarek

ZAKOCHANI W POMORZU

cena 15 zł.

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” 1945.